◆ MIESIĄC POLSKO-RADZIECKIEJ WYMIANY KULTURALNEJ ◆



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Jaszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 24 października 1948 r. | Nr 43 (204)

SEMION KIRSANOW

przełożył WIKTOR WOROSZYLSKI

NIEBO NAD OJCZYZNĄ

POEMAT DRAMATYCZNY

POŚWIĘCENIE

R. D. Kirsanowej.

**Jam z tobą, Niebo, z tobą, Ziemio,
i, póki świat, będziecie ze mną.**

**Niech zmienię się, niech w proch mnie zetrze
bieg lat, lecz sojusz nasz trwa wiecznie.**

**Niech ziemia popiół mój pochłonie —
mój żar w jej żarze wtedy płonie,**

**i nikt mi nie odbierze szczęścia,
żem tego świata drobną częścią.**

**Niby w ulewie krople małe,
nie mrok, lecz tęczę pokochałem.**

**Burzliwej wody migotanie —
to ślad mój, który pozostanie.**

**Niech umrę — wrócę widmem świateł
tam, gdzie jest życie, tam, gdzie świat.**

**I Niebo z wirującą Ziemią
znowu jest ze mną, zawsze ze mną.**

SCENA PIERWSZA

Ziemia

**Para skłębiona
płynie wyżyną
Ziemskiego Globu.**

**W dymie zawisły
ciężkie obłoki —
oto ich myśli.**

Obłoki

**— Jam widział krew na falach morza. — Jam widział górskich lasów pożar.
— Znad leningradzkich przedmieść biegłem i niosę wieść, że świat jest piekłem.
— Pode mną zastygł biegun mroźny. — Pode mną milczał Londyn trwożny.
— Jam szedł nad Pragą zniewoloną, gdzie siostry chmury we łzach toną.**

**— Przez dym patrzałem na Warszawę, widziałem ulic szramy krwawe!
— A ja — kolumny Akropolu, gdzie dudnił krok niemieckich kolumn.
— Jam ośnieżony Murmań przykrył, obmyty falą morskiej bitwy.
— A ja płonący Sewastopol, co trwał do krwi ostatnich kropel...**

Niskie strzępy obłoków

**Ruda rdza, kolczasty drut,
dzieci płacz, zaszczuty tłum,
wycie psów przy blasku łun,**

**trupy u rozstajnych dróg,
jasna noc i ciemny dzień,
pohańbionych krzyży cień,**

Ziemia

**I odgłos dudnień,
żelastwo, ludzie
w zastygłej grudzie.**

Obłoki

**Ludów słyszałyśmy rzężenie, syreny rozpaczliwe wycie
i czyichś kroków głuchy tętent po pustych schodach w czas alarmu.
Nad miastem rosło złe zarzewie. Trupy leżały na ulicy..
I martwo spadał księżyc mętny w rozdartych dachów nieme gardła.**

Pierwszy obłok

**Widziałem, jak szaleńczy pocisk place zdziwione zgniótł i zranił,
jak armat szereg lufy podniósł, aby przedmieścia zmieść,
jak po raz drugi, niby w biblii, znów na wygnanie szedł Izrael,
jak pożar swą pieczęcią przybił niedostrzelony zmierzch.**

Drugi obłok

**Z ghett zrozpaczonych ktoś ich zabrał, — a z nimi dzieci ich i żony —
tam, gdzie nad ziemią dym się ściele i kopcem rośnie straszny popiół.
Tam zboża dziwną mają barwę. Tam zapach kości rozżarzonych.
Tam szkielet chudą swą piszczelą świeże zoraną rolę objął.**

Ziemia

**We mnie — miliony
ciał popalonych,
ciał spopielonych.**

**Lecz któż odpowie
za krew, za ogień,
za ciał miliony?**

Obłoki

**Stał — opryskliwy, zmięty, gniewny. Jak prostokąty śrutu, przed nim
w hełmach stalowych szło żołdactwo. Ręka, jak kruk, frunęła wzwyż.
Napiętnowany jest ten człowiek. Wzrok trupi spod spuchniętych powiek,
Wydęte wargi samowładcy. I wpięty w pierś — żelazny krzyż**

Ziemia

**Bądźże przeklęty,
grzmocie stuletni
moździerzy Kruppa!**

Kropla

**Byłam w chmurze drobną kroplą,
przezroczystą i okrągłą.
Chciałam z deszczem na dół opaść,
na sosenkę, lecz nie mogłam:
zbyt leciutką byłam kroplą
Więc zawisłam razem z mgiełką,
a gdy mrok otulił las —
rosy stałam się kropelką,
ciałkiem rosy w nocny czas.
Nie znalazłam wodnej rzęsy.
lecz miał gwiazdę hełm żołnierski, —
lubię tulić się do gwiazd!**

Obłoki

**Nam noc rakiety oświetliły, żołnierza widział każdy z nas:
gdy wielkie krople orosiły zoraną bezsennością twarz,
przestrzelonymi on nogami wkopał się w opalony piasek,
w jakieś odłamki, w ostry kamień, tuląc automat swój do ciała.
Nieczuły na powietrza drżenie, dla własnych losów litość tracąc,
przez całą noc się trzymał ziemi, a ziemia jego się trzymała.**

Ziemia

**Trzymał się, walczył,
mój najwytrwalszy,
mój syn najdroższy.**

**Ja jestem Rosją,
dziś krwawą rosą
jest rosa Rosji.**

Niskie strzępy obłoków

**Zaczepiamy strzechy izb,
owijamy pędy iw,
wicher pędzi nas i niszczy.**

**Ziemią — ołowiany gwizd,
dotarł huk do naszych grzyw,
niosą się odłamki wzwyż...**

Obłoki

**— Widzę wybuchy! — Czołgi blisko! — Piechota otworzyła ogień.
— Tak na pierwotne legowiska kiedyś pędziły jednorogi.
— Trzask cekaemów i szczekanie! — Leżą: oślepli, martwi, ranni..
— Orangutangów... nie, faszystów cienie kołyszą się wzdłuż drogi.**

Ziemia

**Lecą granaty,
wyją szrapnele,
bolą mnie leje,
Ostre łopaty
wpiły się we mnie,
grzebią w mym ciele...**

Obłoki

**Obmacują nas co wieczór i co noc reflektorami,
od wybuchów jest z nas każdy pręgowaty i dziobaty,
zenitówki nas kaleczą, ogłuszają radiogramy,
jak hipopotamów stada, weszły w nas aerostaty.**

Kropla

**Niski dźwięk wypełnił niebo.
Któż to, któż to się ośmielił?
Tej mielizny któż się nie bał —
czy to szerszeń, czy to trzmiel?
Bliżej! Głośniej! Cały świat
runął od ogromu skrzydeł.
Jeszcze bliżej! Huczy wiatr,
obracając wiatrak śmigieł!**

Obłoki

**W pustynnym niebie dźwięki biegną, tchnie wicher szybki i gorący!
Nie, to nie wicher! Głos człowieka — pośród kryształów wirujących!**

Kropla

**Przez grubaśne szkła przedziwne
patrzą na mnie oczy piwne.
Przytuliłam się — i mgłą
samolotu zaszło szkło.**

Głos

**W świecie mgły, kryształów ostrych,
w mętnym niebie — mknie mój zaprzęg.
Wróg zdradziecki w tyle został!
Wal, zuchwałe serce, naprzód!
Słyszę z dołu jęk agonii,
widzę: żołdak dziecko goni,
aż upadło twarzą w trawę,
matki płacz w powietrzu zastygł,
widzę ruin wrzody krwawe
i obozów drut kolczasty...
Nie ma dla mnie innych dróg:
Do niewolnych lecę po to
by w powietrzu białą smugą
zakwitł wielki pęk ulotek.
Niech się szerzy wieść radosna,
której imię: wolna Moskwa.**

Ptaki

**Skąd jesteście? Ktoście takie?
Wybuch niebo znów zakrwawił.
Przyfrunęły obce ptaki —
czy to orły czy żurawie?
Nie dla słaboskrzydłych góry,
z tkliwych drwi powietrzny wir,
Zginął wódz nasz złotopióry,
obcych ptaków chłonąc skwir.**

Niskie strzępy obłoków

**Aeroplan tutaj pędzi,
gdzie błękitne jest powietrze.
Groźny mrok zalega wszędzie,
skrzydło ślizga się po wietrze.
Uciekajmy! Bitwa będzie!**

Ziemia

**Znów ciężkim hukiem
zachybotało,
falą wybuchu.**

**Znowu nade mną
pocisk wysłała
stalowa lufa.**

SCENA DRUGA

Obłoki

**Popatrzcie: w chmur posępne jamy, wpół przecinając górny wiatr,
parę zbijając płaszczyznami, wpłynął samolot, jak fregata.
Szczerząc, jak zęby, śmigieł widły, odwłoki zadzierając wzwyż,
za nim — siódemka żółtoskrzydłych, na każdym smok i czarny krzyż!
Popatrzcie: rwą się, gonią, szczują, sieką kulami i świdrują
burtę, gdzie gwiazda lśni szkarłatna...
Jak umknie pilot przed eskadrą? Upartą dłoń ze sterem zbratał.
Ta pogoń śmierć zwiastuje nagłą. Przyrósł do czoła bandaż krwawy.
Dokąd kieruje? Czego pragnie? Co wirująca śruba prawi?**

Głos motoru

**Na nic już i za nic już nie chcę palić się w panice,
ranny jest całun mój, całe ciało me na nic już,
gdybym osą był, kąsałbym, ciosałbym, ciosem bił,
lecz bez wioseł mych osłabłbym, a bez łopat mych — opaść mi.**

Lotnik

**Kręć się, śrubo mojej siły,
prędzej, śrubo mej nadziei!
Z chmur wynurzyć się musimy
i do życia drogę przebić!
Chcą nierówną wziąć nas walką,
ultimatum stawia życie.
Dobrze, życie: albo — albo!
Zaciśniemy śmierci stryczek.
Bądź szalony, bądź jak diabeł,
sojuszniczy pędzie wiatru!
Przekreślimy białym śladem
w stratosferze łuk ataku!
Ule wąskociałych pszczół**

(Dalszy ciąg na stronie czwartej)

PAWEŁ ETTINGER



Paweł Ettinger

Zdawało się, że będzie żył zawsze. Był tak zespolony ze sztuką, że myślano o nim jako o pięknie, które było i będzie. Jego istnienie było tak naturalne, że nikt nie pamiętał o jego wieku. Niedawno zaproponowano Mu, by przyjechał do Polski. Uśmiechnął się pobłażliwie i przypomniał swoje 82 lata. Zresztą nigdy o nich nie pamiętał. Na ostatnim przyjęciu w Ambasadzie powiedział: „Wie Pan, gdyby zagrali walca, zatańczyłbym"; a na pisemne zapytanie jakiegoś znajomego, czy jest żonaty odpisał: „Jak dotąd nie". Często daleko po północy spotykano go, gdy wracał z jakichś posiedzeń, uroczystości czy urodzin. Jego plany na przyszłość były tak rozległe, że na ich zrealizowanie potrzeba by było długiego życia — w ciągu pół wieku przez jego pokój na Basmannej przedefilowały tysiączne rzesze malarzy, rzeźbiarzy, poetów, uczonych, a muzea całego świata przesyłały Mu katalogi i nawet plakaty swoich wystaw.

W ciągu pół wieku był „żywym symbolem najlepszych tradycji krytyki artystycznej" (W. Łazariew), wzorem najbardziej oddanego umiłowania sztuki i jej twórców. Korespondował do ostatniej chwili z setkami artystów z wielu krajów i twierdził ciągle, że „ludzie są za mało epistolarni". Mówił o sobie, że w ciągu swego życia nie zostawił ani jednego listu bez odpowiedzi.

Pomagał wszystkim, i tym, którzy się do niego zwracali, i tym, o których słyszał, że jego pomoc będzie im potrzebna. Urzędował stale od 9 do 2 i od 4 do 7 i w tych godzinach służył radą i swoją pamięcią, której Mu zazdroszczono. Gdy niedawno zwrócono się do Niego z prośbą o stwierdzenie autorstwa portretu olejnego Mickiewicza, Pan Paweł obraz obejrzał i powiedział: „Przed pierwszą wojną czytałem notatkę o tym obrazie". I spod sterty książek z pozoru nieuporządkowanej, wyciągnął stary kalendarz, tak jakgdyby ten kalendarz leżał w tym miejscu od wczoraj. Jego miara czasu najczęściej zadziwiała, szczególnie ludzi młodych, mawiał bowiem „rzeczywiście dość dawno nie widziałem pana X, ostatni raz w 1918 r.".

Nie miał życia prywatnego. Mieszkał zawsze sam, a w Jego dużym pokoju, pełnym obrazów i książek, zaledwie znalazło się miejsce na łóżko żelazne, które zresztą w ciągu dnia także było zakryte jakimś rysunkiem lub litografią. Miał bowiem zwyczaj każdy nowy nabytek przed jego umieszczeniem w odpowiedniej teczce zawieszać na jakiś czas w okolicach łóżka. Ten kąt pokoju był jakby ruchomą wystawą, gdzie można było oglądać nie tylko obrazy, ale i plakaty wystaw w Warszawie, Paryżu, Londynie. Traktował swoje mieszkanie jako urząd, a raz, gdy szczególnie dużo zebrało się gości, ktoś zażartował, że należy na drzwiach umieścić napis: „Paweł Ettinger — Biuro Informacyjne — specjalność kultura polska i rosyjska". Zasługi Pawła Ettingera na polu zbliżenia i wzajemnego poznania tych kultur znane są i w Polsce i w Związku Radzieckim, ale tak się do nich w ciągu lat przyzwyczajono, że przestano je doceniać. Niestety nadszedł moment, który zasługi te postawił w jaskrawym świetle.

15 września 1948 r. Pan Paweł odszedł. Zmarł nagle na schodach metro niosąc komuś pod pachą książkę i reprodukcję.

Samuel Fiszman

Moskwa 1.X.48 r.

WŁODZIMIERZ BILL - BIEŁOCERKOWSKI

przełożył JÓZEF HEN

MONOTONIA

WILLY zajmował, jak sam się wyrażał, wysokie stanowisko w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Był pomywaczem okien w drapaczu chmur. W dole, na bruku, ludzie wydawali się kijankami, konie — brzuchatymi i beznogimi konikami polnymi, auta i tramwaje — kwadracikami. A wszystko to przetaczało się i mijało nieprzerwanym potokiem. Wysokość zajmowanego stanowiska, czy było to trzecie, czy też trzydzieste trzecie piętro, nie przyprawiała Willy'ego o zawrót głowy.

Ubranie robocze pomywacza okien składało się z kombinezonu, z kieszenią na piersi (na gąbkę), i pasa, do którego z boków przymocowywało się rzemienie zakończone haczykami. Przyrządów do pracy potrzebował pomywacz niewiele: kubeł z ciepłą wodą, gąbka, ścierka, kawałek zamszu i specjalna linijka o gumowym brzegu. Okno drapacza miało zwykle dwie szyby, przesuwające się w dół i w górę. Po wymyciu wewnętrznej strony okna, pomywacz zabierał się do jego strony zewnętrznej. Uniósłszy nieco dolną szybę, Willy klękał po wewnętrznej stronie parapetu, obrócony plecami do ulicy, potem przesunął się do tyłu i w ten sposób przelazł na parapet zewnętrzny. Jedną ręką trzymał się futryny, a drugą zarzucał haczyki pasków na kółka, przymocowane specjalnie w tym celu do muru. Umocniwszy pasy, pomywacz prostował się. Niestety nie można było pracować stojąc tuż przy szybie, niemożliwa też była swobodna postawa na wąskim i pochyłym parapecie. Dlatego pomywacz mocno opierał się nogami o parapet i zawisał w powietrzu na pasie. Potem wyjmował z kieszeni kombinezonu mokrą gąbkę, moczył nią szybę, ściągał wodę linijką, wycierał ścierką, przecierał zamszem. I to wszystko. Trzydzieści sześć okien dziennie. Proste i nieskomplikowane...

A przecież praca ta miała jedną ujemną stronę: jej monotonia oddziaływała na nerwy i psychikę. Bo rzeczywiście: dzień w dzień, przy każdym oknie, przy każdym piętrze — zawsze te same ruchy; zawsze te same przedmioty; wiosną i latem, jesienią i zimą wisieć samotnie między niebem, a ziemią — smutne to i, co gorsza, beztreściwe. Dawnemu marynarzowi dalekomorskich rejsów, przyzwyczajonemu do ciągłego ruchu i obfitości wrażeń, pustka ta wydawała się często nie do zniesienia. Tępiał od niej mózg, stygło serce, zatrzymywał się puls. Pustka w duszy i pustka wokół. Wieczorem kufel piwa lub kino za pięć centów. Bywało, ogarnie go nagle słabość i zmęczenie, i ciało jego staje się ciężkie jak żelazo: poruszający się manekin o zastygłym wzroku i zaciśniętych zębach. W takich chwilach szczególnie ciężko było pracować, tym bardziej, że „rekord" zostawał zawsze ten sam — ani jednego okna mniej!...

Tak mijały dni, tygodnie, miesiące... Nieoczekiwanie, znienacka, monotonia ta wybuchała wulkanem gniewu... W takich chwilach Willy stawał się straszny. Miał szczęście, że go nikt na tym nie złapał przy robocie. Później wszystko uspokajało się, przycichało, i znów trwał nudny, smętny, martwy sztil.

Zdawało by się, cóż prostszego: zebrać się i rzucić tę uprzykrzoną pracę, zamienić ją na inną. Ale Willy wiedział z doświadczenia, że to grozi mu bezrobociem: prywatne giełdy pracy, tłumy takich samych jak on bezrobotnych, cierpienia, głód... Przecież tę pracę udało mu się uzyskać dzięki temu, że poprzedni pomywacz w nietrzeźwym stanie spadł z siedemnastego piętra (ciało jego, pisały gazety, rozmachem swym zabiło na miejscu konia, przełamawszy mu kręgosłup).

Próżno próbował Willy — chociażby trochę, chciażby odrobinkę — urozmaicić swą pracę, wnieść do niej coś nowego. Ale przez to, że do ciepłej wody doda się trochę zielonego mydła, że zmieni się linijkę na szerszą i dłuższą, nie zajdzie żadna osobliwa zmiana ani w samej pracy ani w samopoczuciu. Całe jego życie, cel i sens tego życia, sprowadzały się teraz wyłącznie do tego, żeby myć okno po oknie — i Willy stracił wszelką nadzieję.

Kiedyś, zupełnie przypadkowo, uwagę Willy'ego zwrócił gzyms, przebiegający między oknami wzdłuż muru na wysokości dwudziestego siódmego piętra. Wisząc na pasie i spoglądając na ten gzyms, Willy pomyślał: czemuż by nie skorzystać z niego, zamiast włazić do wnętrza mieszkania, podchodzić do następnego okna i znowu wyłazić na zewnątrz? Czy nie prościej będzie przejść do tego okna po gzymsie? Ale zaraz, uśmiechnął się i zrezygnował ze swego zamiaru: gzyms wprawdzie nie miał nachylenia, ale był wąski (szerokość ludzkiej stopy); przejście po nim, chociażby bokiem, opierając się plecami o ścianę, było ryzykiem. Tego tylko brakowało, żeby jeszcze spadł... Głupstwa! Willy odczepił haczyki i wskoczył do wnętrza mieszkania. Ale kiedy podszedł do następnego okna, pierwszą rzeczą, która mu się rzuciła w oczy, był gzyms. Starał się nie myśleć o nim i robił swoje. Ale w następnym oknie gzyms znów mu się przypomniał. I im dalej, tym natrętniej ten szary gzyms sterczał mu przed oczyma.

— Tfu, do diabła! — zaklął Willy, uderzywszy po gzymsie linijką. — Co za drzazga wlazła mi w głowę. — Starał się odpędzić natrętną myśl — i gzyms więcej już go nie dręczył.

Ale po obiedzie monotonia pracy podziałała nań szczególnie przygnębiająco. I znów przypomniał mu się gzyms, który teraz już nie mizdrzył się, lecz drażnił: „Boisz się? Boisz się! Też mi marynarz, żeglarz!" — „Co za napaść!" dziwił się Willy — i znów przemógł się i odpędził precz natrętną, nieodczytalną pokusę. Ale zostało mu jeszcze na dziś osiemnaście okien. I mimo że wejście na gzyms było takim ryzykiem, pomywacz po skurczu serca poznał, że się poddaje. Żeby nareszcie, raz na zawsze, pozbyć się tej myśli, postanowił stanąć na gzymsie, tylko stanąć, przyczepiony do muru jednym pasem (drugim paskiem nie można było dosięgnąć przeciwległego pierścienia). Tylko stanąć... I Willy stanął! Okazuje się, można stać, jeśli wyciągnie się jak struna, przyciśnie plecami i karkiem do ściany, i — najważniejsze — wesprze się mocno nogami dla równowagi. A ruszać się?... I ruszać się można, tylko powoli i ostrożnie, najpierw palce na lewo, potem pięty, potem znów palce... Nie odczuwając najmniejszego strachu, ufny w siłę paska, Willy stopniowo przesunął się prawie na całą jego długość. A gdyby tak poprobować postać bez paska? Tylko popróbować... Ostrożnie wyciągnął rękę i odczepił haczyk. W sercu lekko drgnęło. Ale natura marynarza i pomywacza okien, nawykła do takich wrażeń, szybko dała sobie radę z uczuciem strachu. Grunt— nie stracić panowania nad sobą i równowagi. Willy postał tak kilka sekund i pomyślał: „A gdyby tak popróbować posunąć się trochę naprzód... odrobinkę? Nie! Niebezpieczne!" Nienaturalne naprężenie spowodowało zmęczenie w łydkach. Willy wyciągnął już rękę z paskiem, żeby przyczepić haczyk na kółeczko, kiedy nagle zobaczył: z okna drapacza chmur, po tamtej stronie ulicy, wyjrzała głowa, potem druga, trzecia. Zapstrzyło się od twarzy. Było wśród nich wiele kobiecych. A na twarzach tych — strach, zdumienie, ciekawość. Połechtany tym zainteresowaniem, szczególnie zainteresowaniem kobiet, młody pomywacz zadzierżyście się uśmiechnął i przesunął się naprzód... Jeszcze... Jeszcze... Jeszcze... Wystarczy!... Znowu wyciągnął rękę z paskiem i... co to? Willy zbladł, zmienił się na twarzy: haczyk nie dosięgał pierścienia... Nie ma co, trzeba posuwać się naprzód. Zerknąwszy na prawo i lewo, sprawdził, że odległość między oknami jest równa. Westchnął głęboko, ostrożnie naprężył do ostateczności muskuły nóg i zaczął przesuwać się na lewo. Teraz spojrzenia obserwatorów denerwowały go i drażniły. „Spokojnie! Spokojnie! — mówił sobie — Grunt — równowaga..."

...Ale Willy nie wziął pod uwagę jednej rzeczy. Najmniejsze osłabienie muskułów mogło nim zachwiać, pociągając górną część tułowia naprzód, w bezdeń... Teraz odbiło się na nim naprężenie mięśni, nogi już znużyły się, tak, jakby przez cały dzień wspinał się na stromą górę. Potem zaczęło się drżenie w prawej nodze — w udzie i w łydce. Willy z przestrachem spojrzał w lewo — do pierścienia zostało mniej niż metr, ale odległość ta wydała mu się nieskończona, każdy centymetr — kilometrem. Ciało zrosiło się potem. Twarz zszarzała. Prędzej! Prędzej!... „A!" — wykrzyknął Willy i zazgrzytał zębami: świdrował go ból i strach. Kurcz! Prawa noga!... Łydka wzdęła się, skamieniała... Willy zbielał, jak ściana, do której się przytulał. W tej chwili, po raz pierwszy od czasu przyjęcia tej pracy, Willy odczuł wysokość, której dawniej nie odczuwał — dwadzieścia siedem pięter! Wspierał się tylko jedną nogą o gzyms, tylko jedną nogą nad brzegiem przepaści! Wydało mu się, że gmach się kołysze, jak maszt podczas cichej fali. Powiało nań z dołu mrozem, gdy poczuł, że plecy jego odpychają się od muru. „Otóż i ona! Oto ona!" — mignęła mu myśl o śmierci. Szeroko, kurczowo otworzył usta, oddychając gwałtownie, jak człowiek, który po raz pierwszy skacze z ogromnej wysokości do wody. Instynktownie wpił się paznokciami w ledwo uwydatniające się występy muru. Z rozpostartymi rękoma, z zarzuconą głową, wyglądał jak ukrzyżowany na tym szarym murze...

A z okien naprzeciwko rozlegały się histeryczne krzyki, słychać było podniecone głosy. Krzyczano i tutaj, obok. Mijały sekundy, niesamowicie długie, nie do zniesienia męczące, a noga zostawała ciągle w tej samej pozycji. Nie miał sił!... W przedśmiertnym bólu Willy zamknął oczy. Lecz stać nad brzegiem przepaści w mroku — było jeszcze straszniej. Willy otworzył oczy... I w tej chwili coś targnęło łydką, noga drgnęła... Przeszło! Nieludzkim napięciem woli Willy przezwyciężył ciągle jeszcze dręczący go ból nogi i poruszył stopami. Charczał, krztusił się, zalewał potem, z rozpaczą brnął kalecząc się o cegły. Spod paznokci pociekła krew. Już przeszedł tę odległość, która mu brakowała do pierścienia, ale nie mógł jej dosięgnąć, bo na to trzeba było uwolnić lewą rękę. A właśnie paznokcie tej ręki drapały kurczowo ścianę i to właśnie sprzyjało utrzymaniu równowagi. Więc Willy posuwał się nadal w kierunku okna, z któregoś ktoś, wykrzywiając od natężenia twarz, na próżno próbował dosięgnąć linijką jego rzemienia. „Jeszcze troszeczkę!... Jeszcze! Jeszcze odrobinkę! Jeszcze" — Wreszcie udało się. Jego wybawca drżącą ręką nałożył haczyk na pierścień. — „Jest!" — I w tym momencie Willy spadł z gzymsu.

Rozdzierający krzyk kobiet wstrząsnął powietrzem... Willy wisiał rozbujany nad przepaścią, jak tłumok na sznurze...

Nie poczuł jak go wciągali przez okno i jak poili wodą... A kiedy ocknął się, zobaczył skrzywione gniewem twarze i usłyszał wyzwiska. Ludzie nie przebaczyli mu tych minut, podczas których musieli drżeć o jego życie.

...W godzinę później pomywacz okien Willy, otrzymał wymówienie...

Włodzimierz Bill-Biełocerkowski
przełożył **Józef Hen**

Ur. w 1884 r., Włodzimierz Naumowicz Biełocerkowski zdołał ukończyć zaledwie trzy klasy szkoły powszechnej. Trochę z musu, a trochę może przez swoje romantyczne usposobienie — poszedł za Wielką Przygodą. Został marynarzem. Służył na okrętach rosyjskich i amerykańskich. Włóczył się po wszystkich morzach, zwiedził wszystkie lądy. Zaznał ostatecznej nędzy. Pracował jako robotnik fabryczny w Ameryce, jako pomywacz okien w drapaczu chmur, jako tragarz w porcie i jako robotnik rolny na plantacjach. Ale najczęściej był po prostu bezrobotny. W sierpniu 1917 r. wrócił do Rosji i natychmiast wstąpił do frakcji bolszewickiej RSDRP. Brał czynny udział w Rewolucji Październikowej, podczas której został ranny. Został wówczas członkiem Komitetu Wykonawczego Rady Moskiewskiej. Wysłano go na pracę partyjną do Symbirska i na Kubań. W r. 1918 Biełocerkowski (już jako „Bill") chwycił za pióro. Ulubioną formą jego wypowiedzi jest dramat: „Krwawy befsztyk", „Etapy", „Sztorm" i inne. „Sztorm" zdobył sobie najwięcej uznania. Wydaje się jednak, że najlepszymi pozycjami Billa-Biełocerkowskiego są jego nowele — celne i oryginalne.

List do redakcji

O planowaniu w literaturze

W związku z artykułem Płomieńskiego w „Odrodzeniu" (nr. 40) oraz notatką redakcyjną tegoż pisma wyrażającą nadzieję podjęcia polemiki w sprawach literatury — podnoszę rzuconą rękawicę i jako szary konsument dóbr kulturalnych pozwolę sobie na wtrącenie moich „trzech groszy". Nie będę się rozwodził nad koniecznością zestrojenia, zsynchronizowania ataku na odcinku kulturalnym, w którym literatura zajmuje jedną z czołowych pozycji, z innymi odcinkami naszego życia społecznego: politycznym i gospodarczym, które rozpoczęły planowe natarcie na okopy wroga klasowego. Każdy marksista, każdy dialektyk zdający sobie sprawę ze współzależności zjawisk, rozumie i zdaje sobie sprawę, że życie społeczne tworzy skomplikowaną, a jednak w pewnym sensie harmonijną całość. Nie można przebudować życia społecznego, dążyć do zmiany ustroju, pozostawiając pewne odcinki życia zbiorowego na pastwę losu, licząc na ich samorodny rozwój, na jakieś automatyczne przeobrażenie się. Leninowskie hasło „taktyki — planu" przeciwstawiające się żywiołowości ruchu robotniczego, jest niczym innym, jak podkreśleniem konieczności planowania, kierowania i organizowania nie tylko bazą ekonomiczną, ale i jej nadbudową ideologiczną, docenieniem czynnika świadomości w ludzkim działaniu, gdyż „ludzie sami tworzą swoją historię".

Nie mogę się zgodzić z wypowiedzią ob. Płomieńskiego, który pisze: „Powstają one (tzn. procesy literackie) bowiem nie jako owoc uprzedniego planowania, zatem nie pod dyktandem jakiejś nadrzędnej instancji, która by im wyznaczała kierunek rozwojowy, ale jako dosyć skomplikowany, zresztą samorodny, rezultat szeregu czynników pozaliterackich, jak podłoża historycznego, środowiskowego, geograficznego oraz kulturowego, które określają w sumie ich społeczny ładunek oraz koloryt subiektywny. Mówić więc o reorganizowaniu literatury i jej stylu, znaczy tracić z oczu jej właściwy wielowarstwowy rodowód, a przede wszystkim fakt samorodnego powstawania jej twórczych zjawisk".

Autor powyższych słów ujmuje zjawisko życia społecznego jednostronnie, nie dostrzega on procesu odwracalności zjawisk, wzajemnego oddziaływania na siebie przyczyny i skutku. Pogląd ten wyraził zwięźle Engels w liście do Schmidta: „Wydaje mi się zrozumiałe samo przez się, że to, co nazywamy poglądem ideologicznym, oddziaływa znowu ze swej strony na podstawę ekonomiczną i może ją modyfikować w pewnych granicach". O ile więc tzw. „życie duchowe", które wykwita na bazie zjawisk ekonomicznych, wywiera z kolei swój wpływ na swoją „przyczynę" — czemuż by przeto np. krytyka literacka, która może tylko istnieć na bazie twórczości literackiej, nie wywierała z kolei swego wpływu na tęże twórczość, na kształtowanie jej treści, stylu itd. To jest jeden aspekt tego zagadnienia, teoretyczny, że tak powiem. A praktyczny? Płomieński zdaje się zupełnie zapominać o roli świadomości i celowości ludzkiego działania. Stąd odżegnywanie się, jak diabeł święconej wody, od — planowania. Inteligencka mentalność nie może skojarzyć w swym mózgu tak rzekomo prozaicznych rzeczy, jak planowanie (co przypomina niby jakoś buchalterię) — z wolną, natchnioną twórczością artystyczną. Na temat tego tak niemile dla inteligenckiego ucha brzmiącego „planowania" pisze Płomieński co następuje:

. . . .

„Zresztą, czy nie za wcześnie jeszcze zastanawiać się już dzisiaj nad obliczem współczesnej literatury polskiej, które zaczyna się zaledwie tworzyć, którego rysy narastają powoli, nie stanowiąc jeszcze ostatecznie skrystalizowanej formacji".

Co to znaczy nieskrystalizowana formacja? Nieskrystalizowana formacja, to formacja przejściowa, formacja, w której jak w tyglu pomieszane są nowe i stare tendencje ideologiczne, np. w tym wypadku, jeśli chodzi konkretnie o literaturę, nie oznacza to, by ta formacja miała kształt bezpłciowy, jakiś ponadklasowy i ponadhistoryczny. Można by powiedzieć, że odpowiada ona w pewnym sensie naszemu typowi ustrojowemu, w którym, obok elementów socjalistycznych, istnieją i elementy kapitalistyczne, z tym, że państwo ludowe otacza opieką i rozwija elementy postępu, a zwalcza wszystko to, co stanowi zaporę na drodze do realizacji socjalizmu. A ponieważ literatura nie jest w naszym życiu jakimś państwem w państwie o autonomicznych prawach rozwojowi, więc i w nim jesteśmy obowiązani dostrzec i popierać te elementy, które stanowią zarodek rozwoju, a tępić te, które mogą w przyszłości zachwaścić nasz parnas literacki, uczynić z niego warownię rycerzy okopów św. Trójcy. Realizować socjalizm można tylko przez upartą, konsekwentną, nieustępliwą walkę klasową na wszystkich odcinkach naszego frontu; w fabryce, warsztacie i przy biurku; młotem, piórem i pędzlem. Aby walczyć trzeba mieć przed sobą cel, wytkniętą drogę, perspektywę — jedynie w tym kontekście możemy mówić o zamówieniu społecznym w literaturze, czy też o planowaniu, które w odniesieniu do spraw ducha jest wyrażeniem niezupełnie może odpowiadającym istocie rzeczy. Literaturą — jak słusznie zaznacza ob. Płomieński — komenderować nie można, ale walczyć o jej nowe oblicze, o nadążanie za życiem można i trzeba.

Ksawery Probołowski

STANISŁAW WYGODZKI — *Z notatnika szpitalnego*

NOC I MGŁA

**Mistrze nocy dali robotę,
liście, szum ich, tafle szkła.
A tu deszcze, wicher i słota,
noc i mgła,
noc i mgła,**

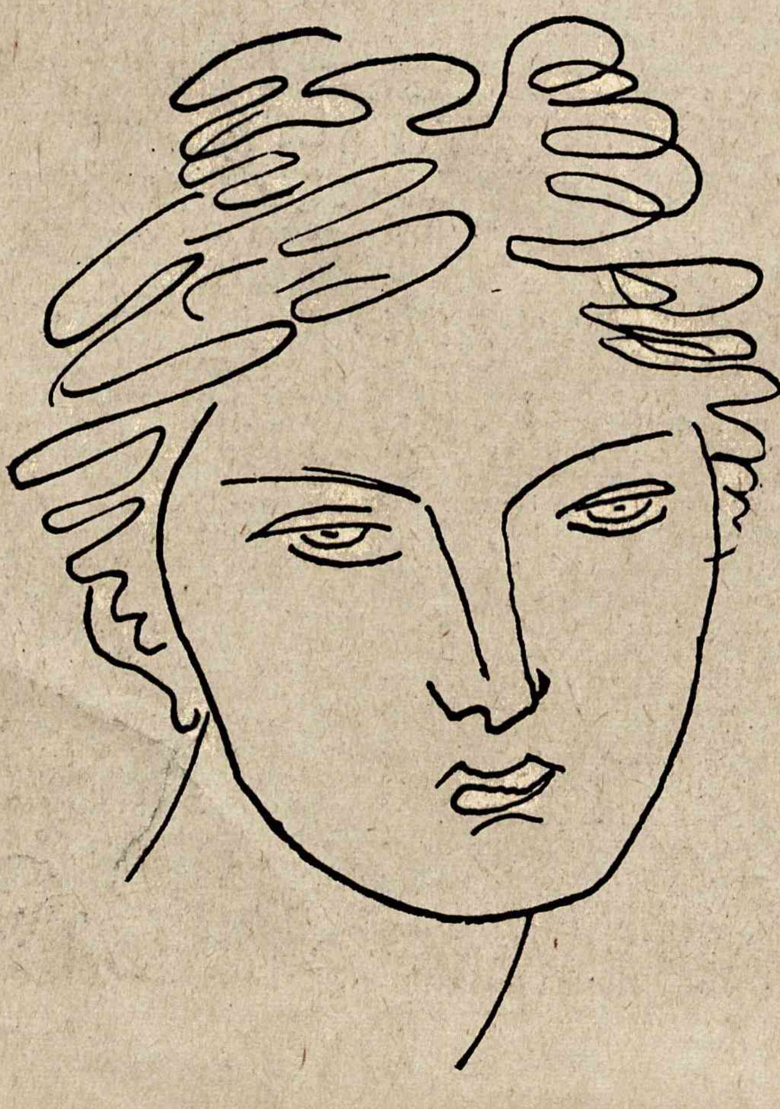
**I mówili: nocą zapłacą,
za tę dniówkę co krótko trwa.
Jak się uwijać, kiedy przy pracy
noc i mgła,
noc i mgła.**

**Lecz przyrzekali, że mi dołożą,
że to niby pogoda zła,
do tej nocy mgły co na morzu —
noc i mgła,
noc i mgła.**

**I wykonałem. Teraz mam obie.
Noc mi została, a za nią szła,
jak za umarłym, w czarnej żałobie
ta nieodstępna, nocna mgła.**

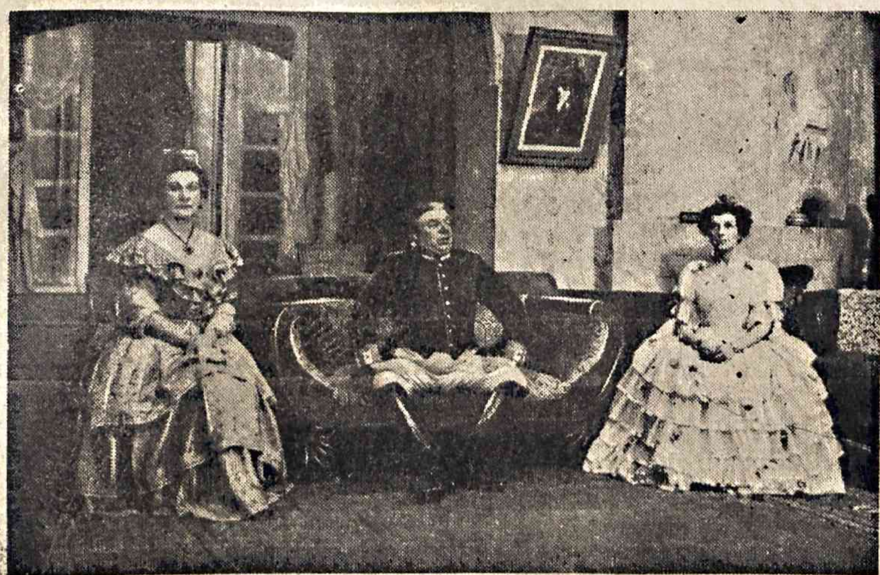
RYSUNKI ZBIGNIEWA PRONASZKI







AUTORZY ROSYJSCY NA POLSKICH SCENACH
1945—1948



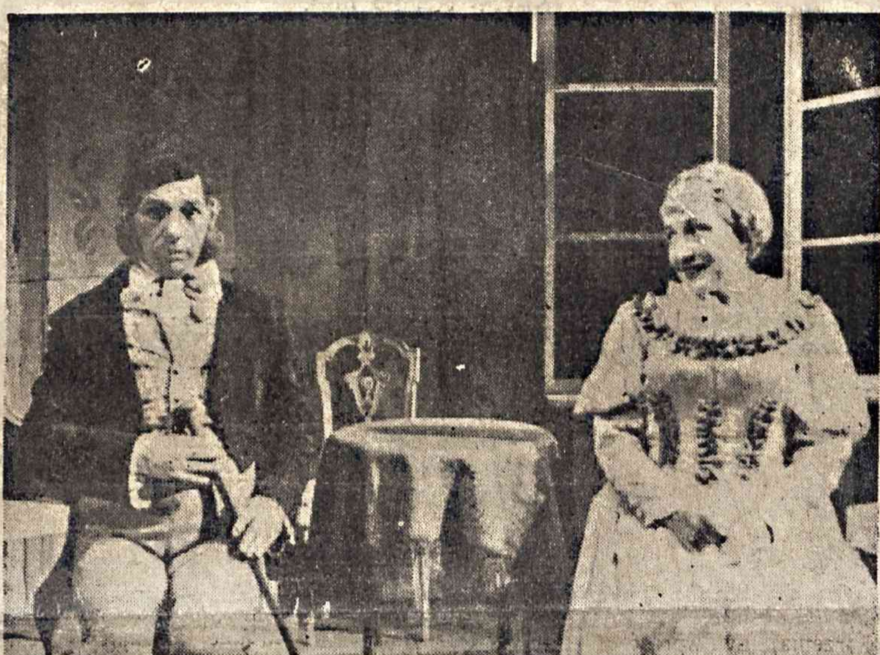
TEATR DOLNOŚLĄSKI, WROCŁAW: „Rewizor“ Gogola. (Nochowiczówna, Kurnakowicz, Waldenowa).



MIEJSKIE TEATRY DRAMATYCZNE, WARSZAWA: „Ożenek“ Gogola. (Kornacka, Ładosiówna, Wieczorkowska).



TEATR NOWY, WARSZAWA: „Rewizor“ Gogola. (Koranówna, Chmielewski, Łuczycka).



TEATR ZIEMI POMORSKIEJ, TORUŃ: „Ożenek“ Gogola. (Libner, Grabiańska).



MIEJSKIE TEATRY DRAMATYCZNE, WARSZAWA: „Oświadczyny“ Czechowa. (Żabczyńska, Blok, Zarzycki).



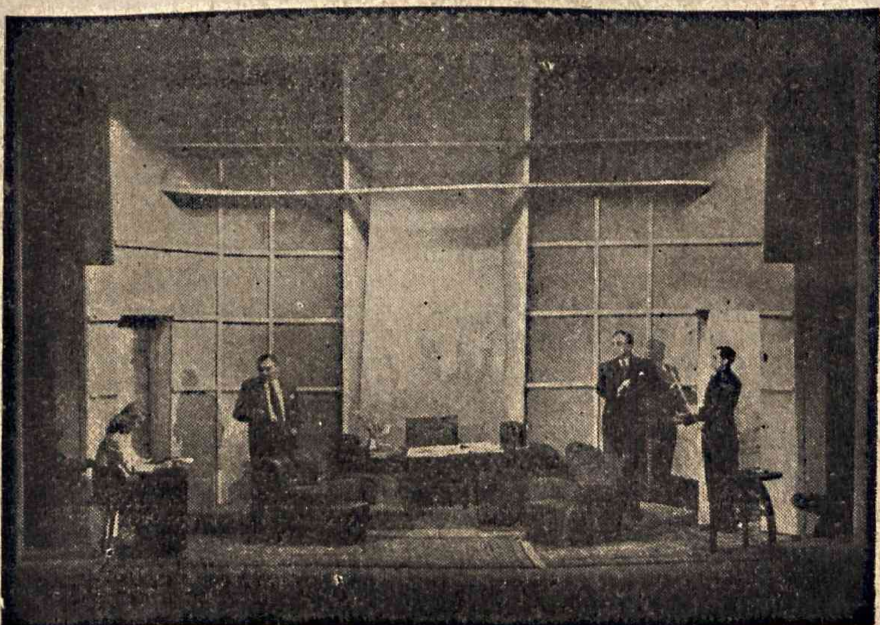
TEATR ŚLĄSKI IM. ST. WYSPIAŃSKIEGO, KATOWICE: „Jegor Bu'yczow i inni“ Go.kiego. (Krasnowiecki, Jabłonowska)



TEATR ŚLĄSKI IM. ST. WYSPIAŃSKIEGO, KATOWICE: „Misja mr. Perkinsa do kraju Bolszewików“ Korniejczuka. (Połoński, Castori, Kordowski).



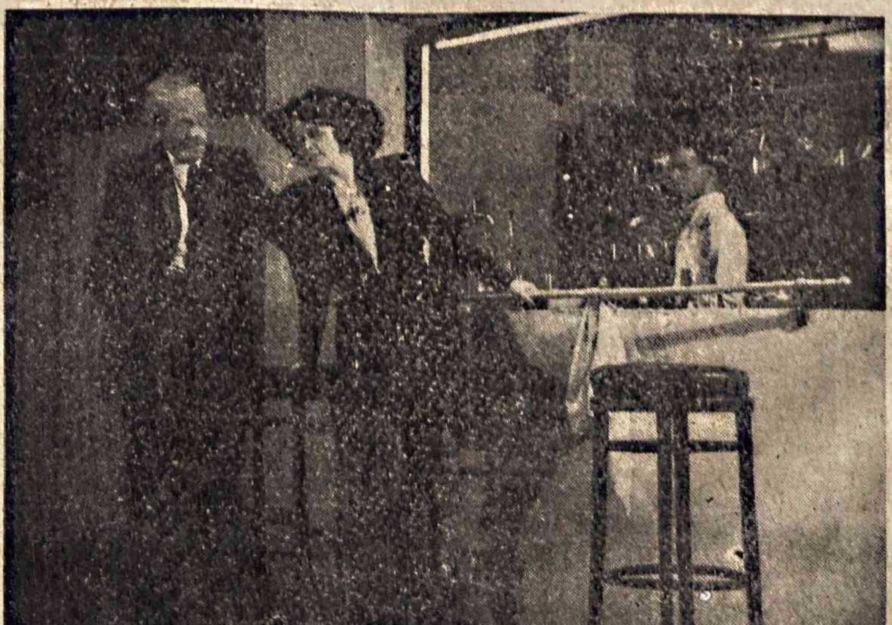
MIEJSKIE TEATRY DRAMATYCZNE, WARSZAWA: „Starzy przyjaciele“ Malugina. (Szczepańska, Stępniówna).



STARY TEATR, KRAKÓW: „Harry Smith odkrywa Amerykę“ („Zagadnienie rosyjskie“) Simonowa. (Castori, Surowa, Kurnakowicz).



TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO, KRAKÓW: „Rosjanie“ Simonowa, (Leszczyński, Solski).



TEATR DOLNOŚLĄSKI, WROCŁAW: „Harry Smith odkrywa Amerykę“. (Zagadnienie rosyjskie“) Simonowa. (Martynowska, Karczewski).

zestawił Artur Marya Swinarski

SEMION KIRSANOW

NIEBO NAD

POEMAT DRA

Dalszy ciąg ze

my na wolność wypuścimy,
na okrągły łeb rekini
zarzucimy śmierci wór...

GŁOS MOTORU

Przecież zderza się i wyszczerza się zgrzytająca grzechotka części, —
każda czkawkę ma, każda drgawki ma, części trzęsą się i trzeszczą
[wciąż częściej...
Któż to uparł się, któż to oparł się, któż to otarł się, chłepcąc benzynę?
To nie grzmoty rżą, ale motor ssie, wnet wymoczę się, spocę się, zginę...

LOTNIK

Nie poddawaj się, motorze.

MOTOR

Ale jak?...
na nakrywce...
tyle mam...
ciężkich ran...

LOTNIK

Bądź, jak przed tym, rzeźki, hoży!

MOTOR

...e jak?..
Ciągle pocę się...
oleistymi, wielkimi
kroplami...

LOTNIK

Przyjacielem byłeś dobrym,
prześcigałeś ziemski glob!..
Po raz któryś, zgódź się druhu,
z wysokością zacząć spór,
obok skomleń i wybuchów,
obok szczytów siwych gór,
jeszcze wyżej, śmierci na złość,
nieś mnie tam, gdzie gwiazdy gasną,
gdzie nie trafi nawet orzeł,
wyżej,
wyżej,
mój motorze!...

MOTOR

...postaram się
ja postaram się...
niby taran w sieć,
weprę w parę się..
...pluszcze już...
oto klaszcze już.
zahuczało!
Tchu! Ciało
pali się...

LOTNIK

Nitki kropel na kapocie...
Twa zawziętość rośnie w locie!
Nie dogoni ciebie wróg!
Jeszcze jeden śmiały nabieg
odstawimy niebo na bok,
oto wschód się w zachód zmienia,
zachód zmienia się we wschód,
a u góry — ona, Ziemia!
Lasy, łąki, sieć kanałów,
ziemi przestwór jest nade mną
strop niebieski jest pode mną,
a horyzont stanął dęba,
na dwie części przeciął ciemność!
Nie wyj, wybacz, że cię męczę,
wyżej,
wyżej,
prędzej,
prędzej!...

CHMURA

W ciało pary, w pył wodnisty wpił swe żądła milion kul,
nim w pustynną odszedł ciszę, parzył, ślepił, kipiał, kłuł.
Wpił się z gniewem i ze śpiewem, co motoru ryk przesilił,
niecierpliwie bijąc w łódź...

KULE

Wiję się!
Kłuję!
Zabiję
już
w tej chwili!...

CHMURA

Trasa gwizdu, trasa pisku z bliska trysła i zawisła,
dym się wplątał w szprychy kół...

KULA

W dół...

LOTNIK

Skośna linio, obok koś!
Zgiń, przepadnij, śladzie świetlny!
Czy nie dość powietrza w Rosji!
Któż wolnemu drogę przetnie?
Krew się sączy, barwi skroń,
z tyłu bliski biegnie łoskot!
Słońce, słońce, — jeśliś słońce,
otwórz w chmurach ścieżkę wąską!
Górskie grzbiety, górskie wiatry,
wyżej,
wyżej,
prędzej,
prędzej —
stalaktyty, Araraty,
chmurne hale i przełęcze!...

OBŁOKI

...yrwał się!... Lecz znów eskadra siedmiogłowa nań napadła...
...e poddawaj się! Nie zadrżyj! Do nas leć! Tu zdrady nie ma!
Siedem grozi mu pożarem, my skłębimy wokół parę,
samolotu ranny kadłub niech ukryje mgła zbawienna!...

NIEMCY

— Hetzen! Treiben! Spuken! Speien! Beissen! Reissen! Nagen!
— Stechen! Morden! Schiessen! Schleissen! Töten! Schlagen! Jagen!
— Kryć! Gryźć! Gnać! Bić! Wziąć! Zmiąć! Zbić! Zbić!

GŁOSY KUL

— Wiję się!
Kłuję!
Zabiję
już
w tej chwili!...

LOTNIK

Słyszę, słyszę, mój motorze,
cekaemów, groźny chorał,
szwargot czarnych i kościstych
marki Kruppa, z kością trupa,
widzę znaki na faszystach,
trupie czaszki — Schwarze Korps..
Słyszę, słyszę, mój motorze!...

OBŁOKI

Niezwykłą bladość ma na twarzy, mknąc nad otchłanią wściekłej bitwy,
zrosły się brwi, a spod bandaży krew strumykami się wymyka.
Choć kombinezon na nim tli się, on jeszcze patrzy, jeszcze widzi
myśmy — obłoki — jego myślą, nadzieją śmigieł i silnika.

LOTNIK

..zjednoczeni z obłokami,
wpłyńmy w groty modrych gór,
mokrą watą okutani
chmur wilgotnych i puszystych,
najwierniejszych i najczystszych...
Jak mi lekko! Wyście z nami,
młode chmury wczesnej jutrzni!
Tyś potężny nasz sojusznik,
płynnej pary oceanie!
Mój motorze, wierz w fortunę,
niewidzialniśmy, więc teraz
czas od słońca krzywo runąć
w dół — do krzyży i do smoków,
z cekaemu —
do silników,
skrzydeł,
kabin
i odwłoków!...

OBŁOKI

Z góry na dół — skok ognisty! Przepaliły ich pociski!

JEGO KULE

W bok, w bok,
w bak, w bak!

NIEMCY

Ból
wplótł
strach
w śmierć!..
Furcht:
Blut!
Tot!
Schmerz.

MOTOR

Plwa i krztusi się... zachłystuje się... płaz plamisty..: rozsypuje się...
Diable plemię... uciekłoby.. pcha do ziemi je... piekła dym!...

OBŁOKI

Nagle spod skrzydła wystrzeliła kłębiąca się, złowieszcza bryła!
To dym! A obok — drugi dym też się kurczowo skrzydła trzyma:

GŁOSY DZIAŁ ZENITOWYCH

— Luf
strach!
Huk
gra!
— Grzmi
miedź
luf
stu!
— Śmierć
tu!

MOTOR

Zły krok to był, zły błysk to był — zbyt mokro mi, zbyt ślisko mi,
niebo w kości gra, odłamkami ćmi, szybkości brak, trzeba stanąć mi...

LOTNIK

Mój motorze, czyś ty ranny?
O, po skrzydle płomień tańczy.
Chodź, przebijmy znów taranem
mrok sklepienia oszukańczy!
Trzeba ukryć się od huku!
Dusisz się? Zaczerpnij ...na!
Ziemia z dziwną mknie szybkością,
dachy, piętra, jakiś kościół..
Ziemskie życie, takie zwykłe,
ludzkie życie, takie bliskie..
Nie, nie bomby! Niechaj padnie
w dół ulotek mych gromada,
niech ostatni zmięty świstek
dotknie ziemi, potem zniknie..
Cóż, fregato, nadszedł czas.
Ścieżki nieba pożegnamy...

OBŁOKI

Lotnik ominął armat trzask i bąble rozognionej piany.
Sieroce kartki płyną przez nas w kroplistym kurzu i wilgoci.
Kartki dotknęły śliskiej jezdni. Popatrzcie: trwożnie ktoś podchodzi.
Ludzie schylili się. Podnieśli! Czytają utytłane w błocie..

CHÓR OBŁOKÓW

Oto, w pożar strojny, lotnik
ciągnie w chmury dymny ślad.
Płomień liże skórę rąk.

Szybciej dotrzyj, słońca dotknij
przez śmiertelny ognia krąg,
druhu nadchmurnego świata!

ZIEMIA

On w chmurach tonie.
Wnet go dogonią.
Czuję: już po nim.

SCENA TRZECIA

ZIEMIA

Tłoków obroty.
Pocą się kotły.
Gwizd lokomotyw.

OBŁOKI

Popatrzcie w dół. Jak mgli się bór! Ósemki szyn się wzięły wpół.
Lokomotywy ciągnie tors wagonów sto przez mroczny tor

ZIEMIA

Co teraz począć?
Przemyka pociąg...
Strącić go, podciąć!

OBŁOKI

On dźwiga bryły dział i tanków, na każdym — orzeł czarnoskrzydły
Zielone światło na przystanku. „Nach Stalingrad" — drogowskaz szydzi
Biada bezbronnym! Miastu biada! Losów straceńca nic nie zmieni!

ZIEMIA

W mroku się skrada
jedyna rada:
trzęsienie ziemi

DOM W STALINGRADZIE

Choć tętni siwy kurz w wyłomie, ale ja trwam — rozbity dom.
Samotny żołnierz broni domu, za oknem, gdzie cekaem dymi.
Cóż, że trzy ściany, piec i komin runęły od niemieckich bomb,
on nie da nigdy i nikomu ściany ostatniej i jedynej

WICHER

Turkot tory wprawia w drżenie,
torsji drżenie.
Krętek, złącz i trzpieni brzemię
czarne koło wtłacza w ziemię.
Na peronie — czołgów trzewia,
granatników mroczny szereg,
stuk polowej radiostacji —
i semafor w polu szczerym
szlak otwiera stalingradzki.
Groźny wróg, wróg, wróg
wszystkie śruby wprawia w ruch.
Na platformie
sny potworne
osowiali śnią żołnierze,
trupie czaszki i piszczele
zdobią ich kołnierze.

...ARIAN PROMIŃSKI rysunki MARII HISZPAŃSKIEJ

BOMBA (3)

Z góry karabin już prał. Po ścianach dachu jakby przeszedł gruby grad. ...zieś szkło trzasło z dźwiękiem. Na... rozdarła sobie pończochę i obtarła ...ano, ale nie pisnęła ni jednej skargi. ... dwu miejscach zobaczyłem jak się ...udne kamienie poruszyły, tzn., że ku... przeszły przez dach i podłogę. Kto ...ł pod ogniem ciężkiego karabinu ma...ynowego wie, że kiedy ścieg idzie po ...chu, to tak jakby człowiekowi już się ... grzbiecie przejechał. Samolot zawył ...rąc wysokość i zamilkł na chwilę — ...bił obrót, potem wygarnął drugą se... Jeszcze warczał i już bez strzału ...czął się oddalać. Kurczowe, wyczeku...ce milczenie rozpadło się teraz dopie... na tumult i krzyk. Ale nie były to ...i rannych.

Ranni jednak, jak się później poka...ło, byli. Cztery osoby, ale lekko. ...yszedłem spod wozu i otrzepywałem ...lana i plecy, kiedy Nacia zniknęła ... sprzed oczu; truchcikiem pobiegła ...wspięła się na schody. — Ty stara ...riatko! — posłałem za nią pod no...m wyrzuconą obelgę.

Sporo podróżnych powyciągało zaraz ...oje bagaże z wagonów i poukładało ... szkarpie. Twierdzili, że w pociągu ...e jest bezpiecznie. Ten i ów próbo...ał nawet skoku przez niezbyt wy...hnięty rów, na którego dnie w tor... gruncie powyciskane były śla... racic koczującego bydła. Po pół ...dzinie spokoju powracali jednak stopniowo na miejsca, kiedy znudziło im się stanie okrakiem nad walizami.

We mnie obudził się apetyt. Jadłem i nie zwracałem uwagi na otoczenie. Pan Stanisław, który wciąż się gdzieś kręcił, przyniósł do przedziału nową wiadomość, że za nami stoi pociąg pancerny.

Zdziwiłem się. — Pociąg pancerny? Jak to się stało, żeśmy nic nie słyszeli? Na tej linii?

— Tak jest. Teraz to już na pewno nie będziemy mieli spokoju. — Nacia — zwrócił się do niej — powtarzam ci, najmądrzej jest aż do naprawy toru ulokować się gdzieś z boku, tylko tak, żeby mieć wagon stale przed oczyma.

Nacia była niezdecydowana.

— My się nigdzie nie ruszamy — powiedziały mniej więcej zgodnie pasażerki spod okna, którym nic się nie stało, i nawet szyba koło nich ocalała. Kolejarza nie było. Profesor wyjrzał przez okno i wychylił się ku tyłowi pociągu, ale — jak mówił — nic nie może dostrzec, bo tor jest prosty. Chociaż... tak jakby jakaś lokomotywa stała za nami.

Schowałem resztki jedzenia do walizki i nałożyłem czapkę. Spytano mnie, czy wychodzę. Odpowiedziałem, że idę obejrzeć sobie ten pociąg.

Pociąg istotnie stał — tylko nie pancerny. Stwierdziłem to z daleka. Był to krótki skład wagonów towarowych, pomalowanych na kolor ochronny; przy nim poruszało się kilku żołnierzy. Kiedy podszedłem bliżej — dostrzegłem jednak, że między parowozem a rzędem wagonów jest jeden dłuższy, opancerzony. Niewysoko znad jego dachu sterczała lufa armatki szybkostrzelnej i dwa gniazda sprzężonych karabinów maszynowych, po cztery wyloty w obydwu końcach. Potem pokazało się, że jest jeszcze wóz służbowy. Mierząc od końca naszego pociągu dzieliło mnie z tamtym niespełna sto metrów. Statecznym krokiem zbliżałem się do lokomotywy. Z całą przyjemnością zażywałem tego porannego spaceru. Minęła już ósma i słońce grzało przyjemnie w plecy. Zrównawszy się z paleniskiem parowozu, spojrzałem w górę na maszynistę opartego o barierkę.



— Co to ma znaczyć? — spytałem.

Wywrócił dłonie bezradnie. Nie wie. Miał zasmolony uśmiech. Poszedłem dalej.

Stopnie pancernego wagonu były umieszczone w połowie jego długości i cofnięte. Stał na nich przy uchylonych drzwiach sierżant i rozglądał się po polu. Wymieniliśmy saluty.

— Co tam wieziecie? — spytałem. Ale mi nie odpowiedział.

Przystanąłem, zapaliłem papierosa i jego poczęstowałem.

— No, co tam wieziecie?

Ktoś za nim rozepchnął drzwi kolanem, ktoś, kogo dotąd nie zauważyłem, bo drzwi kryte metalową blachą miały tylko szpary zamiast okna. Był to wyższy oficer, zdaje się major, niemłody, potężnej budowy i nieco otyły, o złośliwej i niecierpliwej twarzy i spierzchniętym, różowym na niej naskórku. Jakaś nieumiarowa i niesympatyczna wydała mi się ta gęba, o czym też zaraz się przekonałem. Miał na sobie nowy polowy mundur i pas żółty i świeży, na podbrzuszu mapnik, a na piersiach lornetę.

— Proszę mi się zameldować! — powiedział do mnie służbowo i ostro.

Wypełniłem to, podając nazwisko i imię, funkcję, i cel podróży. Wtedy mi rzekł od niechcenia, tak że niemal nie dosłyszałem.

— Rurki z kremem.

— Nie rozumiem.

— Odpowiadam na pańskie pytanie, panie podporuczniku: wieziemy rurki z kremem. — Odetchnął, a kiedy stałem bez słowa, zmieszany, zakończył ostrzejszym, niespodziewanie napastliwym tonem: — Nie rozumiem, jak oficer może zadawać takie pytania! W czasie wojny!... Pańskie dokumenty!

Sierżant sięgnął po nie ręką i podał za siebie. Major oglądał je niby nieuważnie i od czasu do czasu taksował mnie okiem. Potrzymał jeszcze książeczkę z palcem włożonym między okładki i zadrwił z wyżyn swojej rangi i schodków:

— A poza tym, gdzie jest pański pas?

— Zostawiłem go w przedziale, panie majorze.

— Tak sobie pomyślałem — powiedział ze złośliwą ulgą w głosie. Oddał mi książeczkę. — Odmaszerować! — i brodą wskazał kierunek.

Stuknąłem obcasami, zasalutowałem, odwróciłem się na pięcie i zrobiłem jeszcze trzy sztywne kroki. Potem wsadziłem ręce w kieszenie i odszedłem kolebiącym się chodem ulicznika. „A niech cię szlag trafi! Tak się dać obsztorcować!" Już wiedziałem co wiozą: amunicję. „A jeszcze przed godziną tak przytomnie się zachowałem i może uratowałem przez to życie wielu ludziom". Zupełnie mi humor zepsuł ten major, o ile w ogóle można mówić o humorze 5 września 39 roku. Nie żałując świetnych nosków u moich butów od Leszczyńskiego, kopnąłem z drogi parę kamieni, które z furkotem wpadały w trawę.

W przedziale babcia przywitała mnie od drzwi bardzo zjadliwym i pełnym domysłów grymasem.

— Nasz uwodziciel j e d n a k uprowadził swoją Dulcyneję. Co pan na to?

— O czym pani mówi?

— No tę Nację. Poszli w krzaczki, o tam — pokazała przez przeciwległe okno, gdzie były zarośla leszczyny. Zaj-

OJCZYZNA

MATYCZNY

przełożył
WIKTOR WOROSZYLSKI

strony pierwszej

Nie prostują maszyniści
rąk brunatno-oleistych.
Turkot, turkot,
turkot, turkot —
a Stalingrad coraz bliższy...

OBŁOKI

Popatrzcie w dół! Przeszywa tunel! Pod ziemią, jak grzechotnik, sunie.
Lotnik nie widzi! Gdzież ratunek? Horyzont otulony mgłą.
Pomóżmy mu! Niech mówią czyny! Zerwijmy z nieba chmur kurtyny!
A gdy błękity rozkurczymy — niech bystrym okiem zajrzy w głąb!

LOTNIK

Puste, głuche niebo-morze,
nad odmętem — jam samotny.
Już zamiera stuk w motorze
i benzyny tańczą krople.
Frontem burzy się widnokrąg,
czeka zguba na mój okręt...

OBŁOKI

Wichrze, w przestrzeni wytnij okno! Oto z tunelu dym się wydarł.
Lotnika wzrok o mgłę się potknął: węża wagonów on nie widział.

LOTNIK

W klęsce mojej, w mętnym niebie
nikt mi pomóc już nie może:
ani koło ratunkowe,
ani starzy przyjaciele!
Nie nadjedzie pogotowie...
Nie zatrąbi straż na pożar!
Wicher zgina mnie i ściga.
bitwę moją wicher wygra,
w dół mnie strąci i pogrzebie..
Zmiażdżą czółno złe topiele...

OBŁOKI

Oczy lotnika łzy zamgliły, nie ujrzeć mu lokomotywy!

LOTNIK

Rozdarł wicher mętną błonę.
Obraz ziemi mam w źrenicy.
Jakże wchłonąć ją oczyma,
jakże we łzach ją zatrzymać?
Cóż ja mogę, kiedy tonę,
w pół minuty — chyba nic?

ZIEMIA

Ty możesz wiele!
Spójrz — tor się ściele.
Wiedz — tor jest celem.

LOTNIK

Może linka spadochronu
zaprowadzi mnie do życia?

OBŁOKI

I oto pilot pas odpina. On rzuci swój samolot! Nie.
Niemiecki pociąg mknie po szynach. Lotnik go spostrzegł. Pociąg mknie.
Myśmy zastygły. Czemuż żal go? On decyduje: albo — albo.

LOTNIK

Ster porzucić, skoczyć, wyrwać
pierścień złud, w zanadrzu tkwiący?

STRACH

Porzuć ster!

LOTNIK

Czy wynurzyć się i wybrać
gniewnym ogniom cel przed końcem?

STRACH

Lecz to śmierć!

LOTNIK

Widzę, jak pociągi pełzną,
długo pełzną pod nogami,
każde robaczywe cielsko
napełnione jest wrogami.
Długie pudła min, granatów.
To na wschód? Do Stalingradu?

STRACH

Płomień objął
aeroplan!
Życie ratuj!
Wyskocz na dół!
Patrz: spadochron
czeka, drży...
Byle żyć!
Byle żyć!
Byle żyć!

ZIEMIA

Niewolnym biada!
Paść na kolana —
to ziemi zdrada.

OBŁOK

Mgła się ustawia w wyrwy oknie. Jeszcze sekunda — i za późno!
Nie ujrzy już wagonów lotnik. Pole widzenia wnet opróżnią!

LOTNIK

Więc naprawdę mam nurkować?
Własnym ciałem głębie mierzyć?
Ale przecież steru koło
rannej dłoni jeszcze wierzy...
Nie zakręcił się w agonii
lej spiralny, huczny świat!...
Kto dał rozkaz: „Na wagony!" —
głos dowódcy? Echo? Wiatr?

DOM W STALINGRADZIE

Jam roztrzaskany nagi kikut. Z mych boków płynie krew ceglasta.
Ale żołnierskie młode ciało zasłania mój kaleki mur.
Wysłuchaj prośby mej, lotniku: niech wróg nie wedrze się do miasta,
jego krwiożerczym ciężkim działom nie pozwól ruszyć znów na szturm!

LOTNIK

Oto mury, coraz słabsze,
detonacji huk siarczysty...
Turkot kół z daleka nadszedł,
parowozy ciągną naprzód
ogon benzynowych cystern.
Śpieszy się lokomotywa.
Mazią zlała się, zawyła!
Dwie sekundy — celu wybór,
trzecia i ostatnia — wybuch!...

ZIEMIA

Matka żywego —
przytulę ciało
martwe do piersi,

jak przyjmowałam,
obejmowałam,
twój dzień najpierwszy!

LOTNIK

Cy to głos? Czy huczy w głowie
echo własnych postanowień?
Powiedziałem sam? Czy obok
ktoś wymówił słowo: „Idź!"...
Może cud spadochronowy
frunie z tyłu, każe żyć?
Odpowiedzcie wy, obłoki,
czyżbym innej drogi nie miał,
oprócz tej ostatniej drogi
którą podszeptuje Ziemia?

OBŁOKI

Czeka na radę. Na odpowiedź. Śpieszmy dopomóc lotnikowi.
My też kochamy dom nasz — niebo, co tęczowymi lśni światłami.
Ale gorący świtu promień wydaje twardy rozkaz: „Odejść!"
I na wyschniętą lata glebę ziarnistym deszczem opadamy...

LOTNIK

Znowu głos? Czy znowu echo
czyichś myśli i oddechu
powróciło, aby skonać?
Powróciło... Ale skąd?...
O, ostatnia ma sekundo,
trwasz tak długo, trwasz — za długo!...
Widzę: pływający świat
mrok przedświtu z siebie zdarł...
Zza dalekich chmur szkarłatnych
morska wznosi się latarnia...

Nie latarnia... Ale co to?
Na krzywiźnie mego lotu
skibę chmury ktoś rozsunął,
pięć promieni w niej rysując...
O, ostatnia ma sekundo,
trwasz tak krótko, trwasz — za krótko!
Niech benzyna nie wypali
mego wzroku, bym nie zamknął
oczu, zanim zamknie śmierć je!
Pięć promieni, blask opali —
wchłania świat, ukryty za mgłą.
Tam gdzie lśni zegaru tarcza,
pięć promieni ją otacza.
Zegar czeka. Czas nadejdzie.
Widzę, widzę z wysokości
miasta pod przewodnią gwiazdą.
Tyle szczęścia i radości
i pokoju — wolnym miastom!
Nigdy oczu bym nie zamknął,
chłonąc miasta, światy cudne.
Stój, ostatnia ma sekundo!
Zostań, nie śpiesz się za strzałką!
W małym domku, nad kołyską,
w trwożnej ciszy głuchej nocy
matka głowę chyli nisko
i synkowi piosnkę nuci
o lotniku, snów obrońcy,
który brzaskiem nie powrócił.
Czeka chwila nad tym domem
w chmur zatoce nieruchomej.
W samolocie nieruchomym —
skrzydło, purpurowy promień.
To kremlowskiej wieży strzała,
co we mgle i w nocy świeci,
mnie, rannemu, pokazała,
niby przyszłość, śpiące dziecię..
Blisko bomby, wyje ogień.
Słyszę szept gorący: „Obroń!"
Nie ma dla mnie żadnej drogi,
oprócz jednej, com ją obrał!
Cóż, że były chwile trudne,
w trudnej walce, w trudnym wieku!
Strzałko, przerzuć mą sekundę
przez granicę wszystkich sekund!
W ziemskie życie zapatrzony,
śmierć wybieram, jakiej chciałem —
bandaż zdarłszy krwawoczoły,
atakuję
własnym
ciałem!
Mrok ostatni, blask ostatni -
żegnam ludzki raj jedyny...
Skrzydłem zagarniając wiatry,
front przerywam, płonę, ginę,
padam, jak gorąca lawa —
dzieci kraju mego, dla was!

OBŁOKI

Spójrzcie! Płaszczyzna się skłoniła! Lotnik odepchnął ster od serca!
Na nim się z trwogą nachyliła półkula mknącej w dal przestrzeni.
Drżące żywioły on przeszywa i kolce kul w powietrze wwierca,
by runąć na lokomotywę, by motor objął go płomieniem.

WICHER

Aeroplan pomknął w dół,
z góry w dół.
Dym pożaru,
dym pożaru
objął wstęgą szlak Ikarów.
Z dołu — krzyk, krzyk, krzyk!
Ponad kotłem tłustym, czarnym,
maszyniści prawią czary,
kocioł poci się i drży.
Już się zbliża uskrzydlony,
już zakłóca turkot kół.
Rozłupują się wagony,
jak orzechy, wpół.
Płynie krew z przeciętych żył.
Krew jest ogniem — i zapala
szlak Ikara, cios Ikara, —
aby żył!

IKAR

Spadam na ziemię. Skrzydła tają. Jak spływa wosk, stopiony żarem!
Zabójcą będzie głaz Hellady. Pozdrawiam głaz mojego kraju!
Niech mi obłoki drogę dają. Zwycięstwo — moje. Jam — Ikarem.
Wydarłem prawo być skrzydlatym. Wracam do życia, umierając.

KRUKI

Dla zuchwalca — słuszna kara!
Spopielenie i zagłada.
Nie zostało nic z Ikara!
Kropla wosku — oto ślad.
Zakryjmy go mrokiem skrzydeł,
rozerwijmy go na strzępy!
Z ochrypniętym wbijmy krzykiem
w światło źrenic szpony tępe!

SOKOŁY

Kłamstwo, czarne! Precz! Nie śmiejcie
dotknąć osmalonych powiek!
W starciu męstwa z widmem śmierci
on tu jest zwycięzcą — człowiek!
Precz, grabarze, od pościeli, —
ludożerców nie puścimy!
My, sokoły, obejmiemy
honorową wartę przy nim...

(Dokończenie na stronie szóstej)

rzała przy tym w korytarz, czy wnuczka nie słucha.

— Tak długo ją męczył, tak nudził — uzupełniła druga dama spod okna — aż ją wyciągnął. Ależ te kobiety są głupie! I dziwić się tu młodym, kiedy taka stara... niech nie powiem...

— Ma, czego chciała — krótko ucięła tamta, jakby Nacia za swój czyn już została ukarana.

— Ładne tableau — zakończyła, nie wiem dlaczego, właścicielka sklepu z konfekcją.

Młody kolejarz nie przestawał się uśmiechać znad romansu kryminalnego. Nie do jego treści, tylko zapewne do toczącej się rozmowy. Przeczytane gazety przysiadał jednym pośladkiem.

— Nic w tym takiego nie widzę — skrzywiłem się. Zdaje się, byłem skrzywiony cały czas od rozprawy z majorem. — Mogli rzeczywiście pójść na spacer.

— Ale z płaszczem — babcia wskazała w kąt — kawaler płaszcza nie zapomniał zabrać z sobą!

— No i co, no i co, no i co? — To były drwiące słowa profesora. Właśnie papiery po jedzeniu ścisnął w dużą pakułę i rozglądał się, przez które okno wyrzucić pustą butelkę. — Niech nam pan lepiej powie, jak wygląda ten pociąg?

— To jest tylko jeden wagon pancerny, reszta — towarowe.

— Z czym?

Chciałem powiedzieć — z rurkami, ale profesor nie zasłużył sobie na kpiny.

— Z amunicją.

— Ooo, przynajmniej będą mieli czym strzelać, w razie czego.

Między tym jego powiedzeniem a powtórnym warkotem samolotu upłynęło jakie dziesięć minut.

„Teraz idzie coś cięższego".

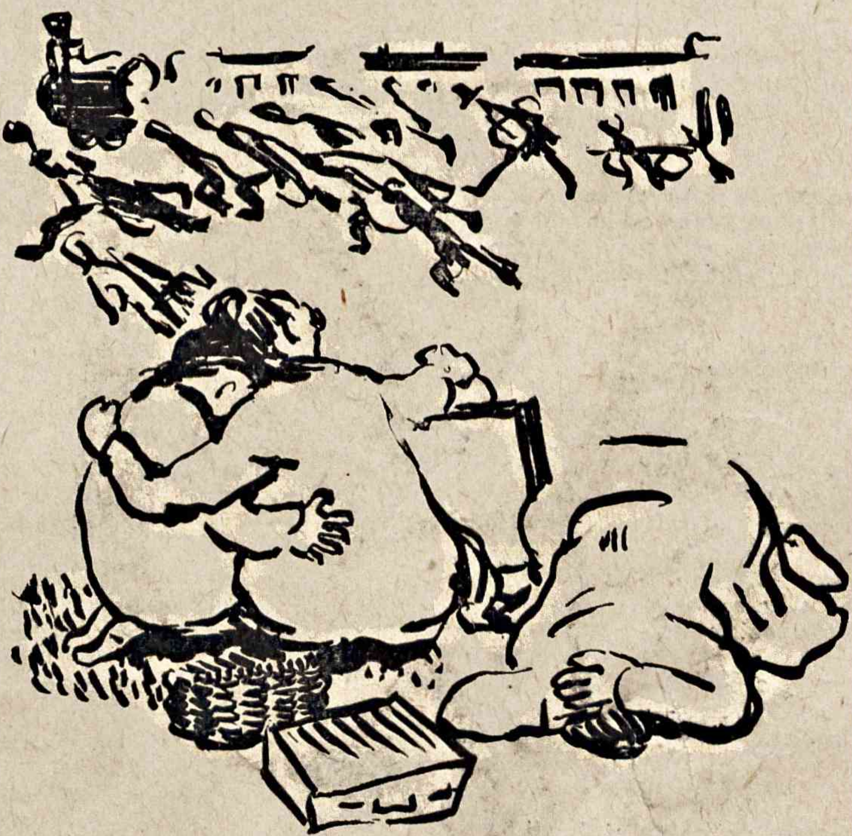
Wybiegłem na lewą stronę pociągu, a za mną mężczyźni z naszego i innych przedziałów. Samolot szedł wysoko, z tego samego kierunku co przedtem, mienił się w powietrzu, raz zniknął w obłoku. Oceniłem go na lekki bombowiec typu Stuka. Armatka z wagonu pancernego poczęła się wstrzeliwać na odległość, którą uznałem za nazbyt ambitną jak na cel, potem włączyły się oba gniazda karabinów, ale samolot mimo zapory posuwał się dalej. Niemal był już w zenicie na linii ognia. Nagle pokazał krzyż swoich skrzydeł i ogona. Zrozumiałem, że ześlizguje się i bierze kurs do przodu, na most. Koło wagonu pancernego wyrosła fontanna, czarna i wysoka jak drzewo, na sekundę zatrzymana w kształcie. Rzuciliśmy się do rowu. Druga bomba wpadła po tamtej stronie naszego pociągu, blisko, bo stęknęły mi płuca i posunąłem się po trawie. Trzecia też po tamtej stronie, ale dalej. Obróciłem twarz za kierunkiem rzutów — czwarta wychlusnęła słup wody z potoka. Gdzieś wypadła spóźniona szyba z okna. Koniec. Ujadała jeszcze armatka.

Bomby nie wyrządziły żadnej szkody. Most stał. Odłamki wygięły tylko poręcz i wyrwały kilka desek z chodnika. Wkrótce też dotarła do nas wiadomość, że uszkodzenie na torze zostało naprawione i pociąg ruszy. Jeszcze nikt nie wierzył, ale kiedy lokomotywa poczęła wydawać z siebie długie zawodzące gwizdy, wszyscy odetchnęli z ulgą, już przekonani, że skończył się krytyczny postój.

W przedziale brakowało tylko Naci i Stanisława.

— No, gotowi jeszcze zostać — padły nie wiem czyje słowa.

Babcia ubolewała z prawdziwym zgorszeniem.



— Nieprzytomni, nieprzytomni do ostatka —

Widzę jeszcze dzisiaj Nacię kołyszącą się na stopniu wagonu, kiedy karabin maszynowy otwierał ogień, i wiem, że to była prawda.

— Już odjeżdżamy, co za idioci!

Ale pociąg wcale się nie śpieszył, wysyłał długie gwizdy, które powracały od lasu. Mnóstwo ludzi się rozbiegło i trzeba ich było zebrać. Jakaś grupa odeszła nawet do odległego baraku po mleko.

— Pan jest najmłodszy — profesor zwrócił się do kolejarza. — Niech no pan skoczy po nich tu w zarośla. widziałem jak tędy szli, prosto przecinkiem do szkółki drzewek.

Kolejarz uśmiechnął się do swojej funkcji pogardliwie, ale usłuchał. Widziałem go z okna, jak wpierw biegał po najbliższych krzakach, a potem spozierał na okno. Profesor pokazał mu trochę na lewo i głębiej. Zniknął nam z oczu i nagle powrócił, przesadził rów i skoczył na schodki.

Był zdyszany i unikał naszego wzroku, zwłaszcza obu kobiet.

— Nie ma ani śladu.

Przez wagony przeleciał łoskot rozsuwanych ogniw. Pociąg ruszał.

— Jakże to może być? — profesor rozkładał ręce.

— Zostali! — wypowiedziały tamte dwie.

Kolejarz chwycił mnie za rękaw, wyprowadził z powrotem na korytarz i pluł mi coś do ucha niewyraźnie, nie zwierając ust, tak że mu się wyrwałem i spojrzałem w oczy.

— Mów pan głośniej do cholery.

— No mówię, są ślady, są! Tu kawałek, tam kawałek. Rozniosło ich na strzępy. Co się pan patrzy?!

Profesor, stojący w drzwiach, od razu odgadł, że oni zginęli. Także obie panie tylko obróciły się ku nam, kiedyśmy usiedli na miejscach, i obyło się w pierwszej chwili bez histerycznych okrzyków. Wiedziały już; intuicja sięga dość głęboko, tam gdzie trzeba. A teraz chyba wstyd, że tyle złych rzeczy powiedziały o ofiarach, przezwyciężył uczucie zgrozy.

Minęliśmy most, nikt nie zwrócił na to uwagi. Podniosłem się z miejsca i począłem szperać przy rączkach u walizek na siatce. Znalazłem jedną kartę wizytową oprawną w skórę i celuloid i założoną pod płócienny pokrowiec: Stanisław Falkowski. Nacia nie miała przy swoim bagażu żadnego śladu nazwiska. Usiadłem z powrotem. Dwa puste miejsca, z peleryną od deszczu zawieszoną na uszaku i trzęsącą się od jazdy — wywierały osobliwie przykre wrażenie.

— Może to by trzeba gdzieś zameldować? — spytała babcia.

— Komu pani teraz zamelduje, mamy jeszcze czas — odpowiedział profesor. Nawet w sąsiednim przedziale nikt nie wiedział o wypadku.

Trudno w ogóle było mówić o czymkolwiek. O tej śmierci — nie. O czymś innym — tym bardziej nie. Tylko staruszek spróbował raz ująć to wydarzenie w generalny rozrachunek z losem i powiedział łagodnie i mądrze, choć jego słowa mogą wyglądać na jeszcze jeden objaw cynizmu:

— No cóż, byli w niebie i tam już zostali.

Na najbliższej stacji wsiadło dwóch mężczyzn. Zapędzili się do przedziału widząc wolne miejsca, ale cofnęli się zaraz; spostrzegli, że są założone czyimiś rzeczami.

— Nie, niech panowie spoczną — odezwał się znowu profesor. — Ci państwo już wysiedli.

Mężczyźni podziękowali i rozgościli się. Wydobyli gazety i zaczęli czytać. Jeden, przewracając stronę, coś sobie przypomniał.

— Ten pociąg był ostrzeliwany, prawda? Słyszeliśmy o tym na stacji. Zresztą widać po szybach. Ale poważniejszych strat nie było?

Za pół godziny dojechaliśmy do Stromycza.

Marian Promiński

TEATR

Cudze dziecko

Miejski Teatr Rozmaitości w Warszawie. Molier: „Szelmostwa Scapina", komedia w trzech aktach. Przekład: Tadeusz Żeleński-Boy. Reżyseria: Józef Wyszomirski. Scenografia: Otto Axer. Ewolucje taneczne: Jadwiga Hryniewiecka.

Nowy dyrektor Teatru Rozmaitości, Dobiesław Damięcki, poczęstował nas, przed oficjalnym otwarciem sezonu, wpierw smaczną zakąską: „Żabusią" Zapolskiej. Przy akompaniamencie doskonałego zespołu, **Irena Górska** stworzyła z roli tytułowej małe arcydzieło psychologiczne, wycyzelowane do najdrobniejszych szczegółów; wypełniała sobą całą scenę, całą sztukę; grała za wszystkich, śmiała się za wszystkich — i zaostrzyła nam apetyt na dalsze dania.

Na pierwsze poszły „Szelmostwa Scapina". Reżyser molierowskiej farsy, **Józef Wyszomirski**, tym razem spisał się znakomicie. Dowcipny prolog, tłok drobnych żartów muzycznych i sytuacyjnych (Wyszomirski nawet z epizodziku Karia potrafił zrobić dobry żart sceniczny), lotność pomysłów i humor, niezawodne poczucie stylu — słowem: solidna robota od pierwszej do ostatniej sceny.

A przecież nie było tyle śmiechu, ile być powinno. Mimo, że w zespole Teatru Rozmaitości jest wypróbowany odtwórca Scapina, **Józef Kondrat**, wypożyczono sobie od Tuwima na tę rolę **Tadeusza Fijewskiego**. U Tuwima potrafiono Fijewskiego, który jest bardzo dobrym i wielostronnym aktorem, wyzyskać należycie; każda jego rola czy rólka zmontowana była trafnie.

W Teatrze Rozmaitości jest nie do przyjęcia. Smutne dziecko-piernik z pociągiem do filozofii pesymistycznej, w ciężkawym kostiumie, nie miało humoru Scapina, nie wyprodukowało należytego tempa i, mimo że w spisie osób czytamy: „Scapin, służący Leandra, hultaj", trudno uwierzyć, że to on wysuszył baryłkę wina, że to on ukradł zegarek, że to on sprawił swemu panu lanie... Wszystkie szelmostwa Scapina musieliśmy przyjąć „na słowo honoru", a jeżeli niektórym z nich towarzyszył śmiech widowni, była w tym zasługa reżysera... i autora oczywiście.

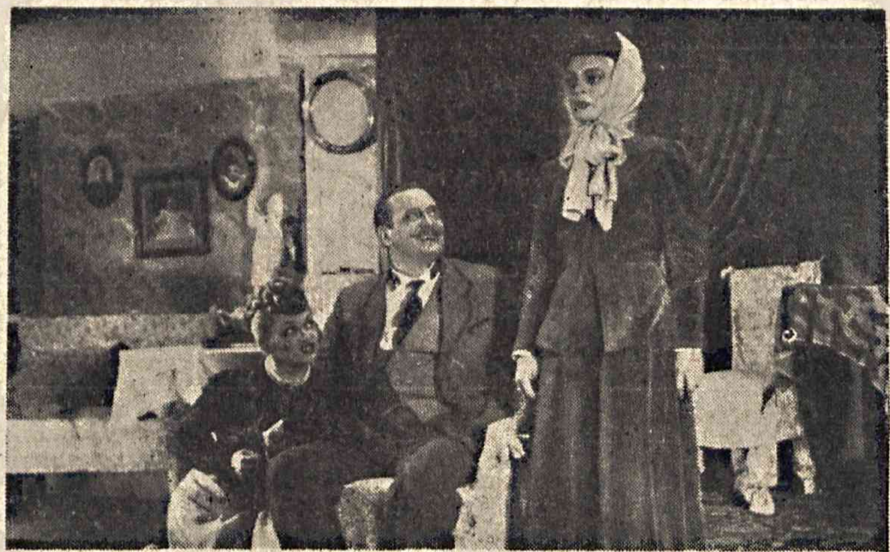
Cudzemu dziecku wyrządzono krzywdę, obsadzając je tak fatalnie. Cudze dziecko należy czym prędzej zwrócić Tuwimowi, który naprawi tę krzywdę i pokaże je jeszcze nieraz w rolach odpowiadających dziecku bardziej niż ta.

Pełne odszkodowanie za zepsutego Scapina wypłacił nam **Tadeusz Surowa** (Geront); pierwsza jego rola w Warszawie — i od razu największy sukces aktorski wieczoru. W drugim szeregu: **Jerzy Pietraszkiewicz** (Oktaw) i **Mikołaj Wołyńczyk** (Sylwester).

Dekoracje i kostiumy **Ottona Axera** smakowite (prócz kostiumu Scapina). Ewolucje taneczne ułożyła **Jadwiga Hryniewiecka** bardzo zgrabnie, ale niestety panowie amanci: **Pietraszkiewicz i Rakowiecki**, pląsają niezbyt zgrabnie, należy bowiem tańczyć nogami, nie siedzeniem.

Artur Marya Swinarski

W poprzednim 42 (203) numerze „Odrodzenia" z dnia 17 października 1948 r.: **Konstanty Gałczyński:** Dziecko się rodzi. **Ananiasz Zajączkowski:** Międzynarodowy Kongres Orientalistów w Paryżu. — **Helena Wielowieyska:** Realizm i konstrukcja czyli dobra zabawa. — Miesiąc polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej: **N. Ogarew** (przełożył **Leonard Podhorski-Okołów**): Tyle smutku. (Urywek). — **Leonard Podhorski-Okołów:** Przyjaciel Worcla. — **Irena Krzywicka:** Niezwykły poeta. — **K. I. Gałczyński:** Kwiaty na tor. — **Julian Przyboś:** Raca — wygięty promień. — **Jerzy Zagórski:** Gdy oliwkowe już się stają szyby...— **kjw:** Pochwały: Na początku były linie. — **Marian Promiński:** Bomba. — **Karol Czapek:** Sąd nad Prometeuszem. — **Marek Adam Jaworski:** Przed nocą. — **Stanisław Gogłuska:** André Suarès. — **Artur Marya Swinarski:** Grzesznicy. Poezja („Przeciw zagładzie" Lesława M. Bartelskiego); Beletrystyka („W Tobruku, Narviku i Moskicie" Mieczysława Pruszyńskiego).—Sztuka dla dzieci i młodzieży: **Maria Kann:** Baśń na rozdrożu. — **Lucyna Krzemieniecka:** Wieczór — **Stefania Szuchowa:** Baśń. — **Tadeusz Mikulski:** Wróble warszawskie. — **Stefania Wortman:** W obronie baśni ludowej. — Pięćdziesiąta premiera w Teatrze Bielskim. — **Jerzy Płażewski:** „Siostra lokaja" — film amerykański. — Korespondencja (**W. Szymański**) — **Stanisław Jerzy Lec:** Fraszki: O Bohaterstwie. Wrogowie Satyry. O Punktach Widzenia. O Ostrzeżenie. O Sprawiedliwości. O Języku. O Człowieku. O Pewnej Dyplomacji — Camera obscura. — 20 ilustracyj. — 8 stron



„Żabusia" Zapolskiej w warszawskim teatrze „Rozmaitości". Irena Górska (Żabusia), Jadwiga Kuryluk (Mańka), Dobiesław Damięcki (Rak).



„Harry Smith odkrywa Amerykę". E. Kuźmina (Jessie) i W. Aksionow (Smith).

NIEBO NAD OJCZYZNĄ

(Dokończenie)

OBŁOKI

Już cysternami ogień włada. Min pękających kanonada.
I siarki zapach, i zagłada, wagonów purpurowy stos.
Dym nie utrwali rysów twarzy. Lecz cóż, że drogi padł towarzysz!
Stalingrad — wytrwa. Śmierć — zaważy. O, niezawodny był ten cios!

CHÓR OBŁOKÓW

Chwałę tego, który padł,
poniesiemy w kraj daleki
my, obłoki, poprzez wieki!

ZIEMIA

On aż do końca
nie zmrużył źrenic,
patrzył surowo.

Takim zostanie,
takim na wieki
ja go zachowam.

SCENA CZWARTA

WIATR

Wyję i wieję
wichru strumieniem,
obłoki zbieram,
pcham na Syberię.

O, chmury Rosji,
do równin śpieszcie,
nasyćcie posiew
ziarnistym deszczem!

ZIEMIA

Chmuro olbrzymia,
wodę przeczystą
zwróć mi czym prędzej!

Dosyć już wzdymać
mglistą plamistość
na firmamencie!

OBŁOKI

Przeminął step i szczyty jodeł. Idziemy. Przemarsz nasz — ogromny.
Nadchodzą gór wierzchołki sine i łun stalowni lśni purpura.
Piołunem zgryzot przepojone, przechorowałyśmy swe gromy.
Zlewając się z hutniczym dymem, dziś przeprawiamy się za Urał.

CHÓR OBŁOKÓW

Nieba strop ze wszystkich stron
zakrył dżdżu surowy słój.
Wicher goni resztką sił.

Poza nami został front.
Nasz wielokroplisty tłum
płynie znów głęboko w tył.

OBŁOKI

Grupy wieśniaczek patrzą w niebo, spękana gleba stopy zgrzała
i szelest rosnącego chleba rozszeptał, rozfalował ziemię.
Pozwolić zbożu dżdżem się opić — tu się zaczyna burz dojrzałość,
gdyśmy skupiły w kroplach kopeć i bólu ważkie doświadczenie.

KROPLA

Ostrosłupem i kryształem
koronkowym byłam zimą!
W marcu znów się kroplą stałam,
przyjaźniłem się z wyżyną.
W wielobarwnej lśniłam tęczy
i płynęłam oceanem,
zmieniałam się rok po roku, —
nagle z rury wodociągu
wyssał mnie miedziany kran.
Świt mnie rosą w kwiaty kładł,
parowałam i krążyłam
nad trawami, póki mgła.
Lecz zaledwie żegnam Ziemię,
ta mnie wzywa: „Kroplo wróć!"
W kroplę deszczu się zamieniam,
by powietrze lotem pruć

ZIEMIA

Nie zwlekaj, kroplo,
na ziemię powróć,
do suchych łodyg!

OBŁOK

Kwiaty otwarły czułe pyszczki, o wilgoć kiełki żyta proszą!
Deszcz wybrzuszonym dyniom śni się. Jabłoń na biały czeka obłok.
Chłodną burzliwą pomyślnością mam oddać się zielonym zbożom,
a wsie, pławiące się w spiekocie, błagają, bym nie przemknął obok.

KROPLA

W szybkim pędzie prostopadłym
moja treść jest i istota!
Śmiało, siostry, ruńmy na dół!
Nie pierwszyzną nam ten lot.
Dalej, niż Uralu bryła, —
sama nowy szlak wyryłam!
Znam motoru głos nerwowy,
bo na samolotu szkle,
omijając armat skowyt,
wraz z pilotem weszłam w mgłę!
W lawy żar, w wybuchu obłok
ranny pilot śmigła wbił,
wtedy weszłam w parę obłą,
by wirować z Ziemskim Globem, —
kropla dżdżu i węgla pył...

CHMURA

To we mnie pyłki węgla rosły, więc niosłam je po całej Rosji.
Wodą tęczową znów nabrzmiewam. Idę, gdzie wielka przestrzeń chlebna.
Wybuchu punkt milionokrotny wlał się w me ciało, niby potok.
Mej chmurnej duszy dotknął lotnik! Jestem szczęśliwa, więc ulewna.

ZIEMIA

Życia drobinko,
deszczowe plemię,
pryśnij na ziemię!

OBŁOKI Z ZACHODU

— Gwiazdy widziałyśmy na czołgach. — Taborów wąż za Odrę ciągnie.
— Wciąż rzadszy bomb żarłoczny oddech. — Przez krew i pot — pokoju [podmuch!
— Armie zbliżają się do Wiednia. — W Berlinie grzmią już kanonady.
— Nad Moskwą świetną rakiet świetlnych zwycięskie leją się kaskady.

CHÓR OBŁOKÓW

Bagnetu ostrze zdobi kwiat.
Ktoś kombatanta objął wpół.
Pierwszej zwycięskiej strofy smak

Radosnej, jak wiosenny wiatr.
Głębokiej, jak przestrzenie pól,
gdzie bohatera został ślad.

ZIEMIA

Pamiętam imię,
choć zakrył dym je,
ja nie zapomnę.

Jam go przyjęła,
jam jego grobem,
jam jego domem.

CHMURA

Powoli nad mogiłą płynę. Widzę: otacza ją pszenica.
Nadeszły upragnione żniwa. Huczy maszyna, lśni odświętna.
Zabity lotnik miał dziewczynę. Ona przywraca go do życia,
płacząc nad grobem, gdzie spoczywa ten, czyją miłość wciąż pamięta.

DZIEWCZYNA (śpiewa)

„Żył na świecie dzielny lotnik,
co dalekie kochał drogi.
Był zeń dumny wiatr zawrotny,
zachwycały się obłoki.
I siadały krople tkliwe
na huczącym samolocie
i patrzyły, niby żywe,
lotnikowi w piwne oczy..."

OBŁOKI

Nad Moskwą błękit lipca wstaje! Słońce promienny leje ciężar!
Nasz lot podniebny dobę rozciął, gdy zegar Kremla ranek budził.
Narodom tam powiada Stalin, że prawda walczy i zwycięża.
Patrzy ze smutkiem i czułością dziewczyna na świątecznych ludzi.

DZIEWCZYNA (śpiewa)

„Wśród obłoków deszczu, grad"
trudne i dalekie drogi.
Dla nas i dla Stalingradu
młody pilot runął w ogień.
Swoje życie ofiarował,
nie wyzyskał spadochronu,
własnym losem pokierował
nawet wówczas, kiedy płonął..."

OBŁOKI

Długo krążyłyśmy nad miastem. Tam Pałac Rad budują teraz.
Tam Lenin stoi w jutrzni blasku, wskazując ludziom szlak ogromny.
U dołu z brązu jest oblicze — otwarte oczy bohatera,
on poprzez śmierć spogląda w życie i milcząc prosi: „Nie zapomnij!"

DZIEWCZYNA (śpiewa)

„Nad szerokim polem chleba
wiją się powietrzne drogi.
Tu jest jego wielkie niebo
i podróżne są obłoki,
niesłyszany dźwięk ostatni,
niewidziany lot daleki.
Tylko może zaraz spadnie
kropli deszczu pocisk lekki..."

CHMURA

Pamiętam wszystko, tak jak było. Wszak życie jest i moim prawem!
Poeta ofiarował głos mi. Rozum i duszę dał mi w niebie.
Chcę człowiekowi wyznać miłość. Jak on, z wyżyny runąć pragnę,
kroplami rozbić się o kłosy i powstać z martwych w nowym chlebie.

WICHER

Z nieba spadł siarczysty deszcz,
        czysty deszcz.
Wilgoć pieści i szeleści
kłos pszenicy,
        żyta też.
Płyną krople, krople, krople
        do spragnionej dreszczy suszy,
        liście chlupią w lepkich łapach
a otwarta niebios klapa
        śpieszy odbić się w kałuży.
Pluska, pluska
kropel łuska,
ciesz się, ciesz się ciesz się, ciesz!
Pada deszcz, deszcz, deszcz,
        promienisty i srebrzysty
letni deszcz!

BŁYSKAWICA

Blasku biel!
Miecza cios!
Mój cel —
na wprost!

KROPLE

Barw
        blask
                w ślad
                        mży.
deszcz
        w dół —
                żyć,
                        żyć!

ZIEMIA

Wchłaniam i sławię
zwyczajną kroplę,
która od wieków

opada z nieba
na dół — dla chleba,
dla człowieka.

1944 — 1947

SEMION KIRSANOW

przełożył **WIKTOR WOROSZYLSKI**

Festival filmów radzieckich

„Harry Smith odkrywa Amerykę"

Wyjątkowe powodzenie, głęboka aktualność, wreszcie — walory sceniczne tej udramatyzowanej epopei postępowego dziennikarza amerykańskiego, borykającego się z reakcyjnymi menerami prasy USA, predestynowały słynną sztukę Simonowa do przeróbki na ekran. „Zagadnienie rosyjskie", takie, jakim je pamiętamy ze scen polskich, było pełnokrwistą sztuką teatralną, o zrównoważonym, nieco kameralnym charakterze.

Scenariusz i reżyseria Michała Romma miały za zadanie podkreślenie momentów dynamicznych, pełne wykorzystanie ruchliwości kamery i uzupełnienie tekstu oryginału nowymi pomysłami. Nie było to zadanie łatwe. Wprawdzie z jednej strony rozszerzenie zasięgu terenowego dało dodatkową broń akcji demaskowania współczesnej rzeczywistości amerykańskiej, z drugiej jednak strony wyższy szczebel realizmu, jakiego żąda dla siebie sztuka filmowa, mógł spowodować mimowolne skarykaturowanie zamierzeń pisarza. A nawet zatarcie niektórych ostrych rysów sztuki, podkreślonych dzięki umowności akcji scenicznej.

Użyłem wyżej słowa „przeróbka". Nie jest ono słuszne. Romm okazał się tylko wiernym tłumaczem. Czy wyszło to obrazowi na dobre? Dzięki temu uniknięto niewątpliwie niebezpieczeństw, które mogły zagrażać, owego zatarcia profilu politycznego i zagubienia zwartości. Ale uniknięto niewątpliwe również szeregu możliwości, jakie stwarza technika filmowa.

W dwóch momentach widać obecność reżysera i te momenty z filmowego punktu widzenia są najsilniejszymi akcentami obrazu. Są to: wstęp pokazujący w przekroju, czym są Stany Zjednoczone, lapidarny w ujęciu o bardzo sugestywnym montażu i pozbawiony komentarza słownego — zatem operujący najbardziej kinowym tworzywem; oraz seria doskonałych zdjęć dyktującego swą książkę Smitha. Różnorodność planów, tempo, błyskawiczne, kontrastowe zmiany oświetlenia, są tak samo kinowym efektem, jak powolne opróżnianie wnętrza ze wszystkich mebli jest efektem teatralnym.

Niepodobna oderwać samego filmu od momentu historycznego, w którym został zrealizowany. „Rosjanie nie chcą wojny!" — konkluduje odważnie Harry Smith w książce o Związku Radzieckim. Konkluzję tę przepłacić musi ruiną swego szczęścia osobistego, na które — wydawało się — w pełni zasłużył po latach tułaczki po wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Ale potępiony przez potentatów Wall Streetu, zwalczany przez zależnych od wielkiego kapitału rekinów żółtej prasy amerykańskiej — dociera Smith bez ich pomocy i wbrew nim do właściwego społeczeństwa. Do tych mas szarych, prostych ludzi, którzy chcą pracować w spokoju i nie zamierzają nikomu wygrażać pięścią.

Trudno się tu oprzeć analogii — opartej nie tylko na zbieżności nazwisk — z filmem Capry „Mr. Smith jedzie do Washingtonu", filmem nakręconym i wyprodukowanym w USA, co prawda jeszcze za czasów roosevelttowskiego „New Dealu". Smith, nazwisko, które personifikuje właśnie „szarego", przeciętnego Amerykanina, użyte zostało w obu wypadkach dla oznaczenia szermierza postępu i sprawiedliwości. Symbol to wymowny: istnieje krzykliwa i awanturnicza Ameryka Marshallów, Thomsonów, Mundtów i Hearstów. Ale jest to armia bez szeregowców: miliony spokojnych „szarych" Smithów — to już przeciwna strona barykady.

Intencje Simonowa uszanowane zostały tym wierniej, że reżyser potrafił trafnie dobrać zespół aktorski. Gwiazdą pierwszej wielkości jest doskonały Smith — W. Aksionow, który swym blaskiem nie zaćmiewa jednak partnerów: Barabanowej (Meg), Posławskiego (Hardy), czy Cinmana (Preston). Słabsza jest Kuźmina, jako Jessie — typ najzupełniej nieamerykański.

Muzyka A. Chaczaturiana doskonale zestrojona z całością filmu.

Wielka szkoda, że producent zeszpecił film fatalnym polskim dubbingiem: tekst wygłaszany jest przez jakieś drewniane głosy w sposób naiwny i afektowany. Gdybyż jeszcze polszczyzna była bez zarzutu! Ale zwroty typu: „Wypijam whisky na 75 dolarów w tydzień" lub „Mnie dokuczyło być kukułką" — stanowczo nie ułatwiają zadania widzowi. Dubbing jest niemałą sztuką i stanowczo wolimy słuchać dobrych dialogów rosyjskich, prowadzonych przez autentycznych aktorów i czytać polskie napisy, niż słyszeć nieudolne zdania wygłaszane przez dyletantów ekranu.

Jerzy Płażewski

Redakcja „ODRODZENIA" prosi Firmy Wydawnicze o przysyłanie na adres redakcji (nie imiennie) dwu egzemplarzy książek i zaznacza, że jedynie w tym wypadku książki te będą recenzowane

Pochwały

CEGŁY

Czym była zburzona Warszawa? Była powodzią cegieł, które pod przymusem bomb i pocisków opuściły swoje ściany, spiętrzyły się w fale, ulice wzięły sobie za koryta. Chodziło się tym falom po grzbietach, skamieniały w łożyskach, nie umiały odpłynąć same. Ruina stanowi jeden z ulubionych przez romantyków rekwizytów poetyckich, nabiera bowiem rychło malowniczości, a jej groza nie nadaje się do konserwacji i utrwalenia, co najwyżej stwarza pożywkę zdziwieniu i fantastyce. W pierwszych miesiącach 1945 r. byli ludzie głoszący, że należało by któryś z kwadratów warszawskich ulic pozostawić w stanie nietkniętym odbudową, by świadczył o grozie. Ba, ale jak ci ludzie zamierzali zabronić zasiewać się brzozie, kiełkować trawom, kruszeć cegle pod deszczem?

Ruina rekwizytem malowniczości staje się wówczas, kiedy nie przechowujemy w pamięci innego jej stanu. Kiedy o tym, że gdzieś tam kiedyś była tworem uładzonym, wiemy tylko teoretycznie, a nie z własnego doświadczenia. To, czego nie posiadamy żywo w pamięci, nie obowiązuje naszych oczu do współczucia. O starej cegle pisać można jak o trawie, jak o drzewie. Na swój sposób może być ona nawet — ładna. Na kilka lat przedtem, zanim powodzie cegieł wtargnęły w miasta europejskie, pisała tak jeszcze Maria Jasnorzewska. Jej „Ruiny" w tomie „Krystalizacje":

Stara cegła
W stanie nekrozy
Strugą ku łąkom zbiegła —
Tu czas przystanął u mety
I chwieje się na wietrze
Soczewka skabiozy
Jak w ażurach rozlśniony ametyst.

Zaczynam o cegle, ponieważ wzorem wypracowań na zadany motyw (krowa w liryce awangardowej, rola gwiazd w poezji nastrojowej) właśnie takie wypracowanko chciałbym naszkicować. „Cegła w powojennej poezji o Warszawie". Bo pod tą cegłą kryją się różne znamienne sprawy. Dotyczą one stylu poezji i wkładu w ten styl owych setek tysięcy cegłodniówek, czy jak tam inżynierowie od odbudowy nazywają proces wydobywania cegły z ruiny i przywracania jej do stanu budowlanego. Dotyczą również codziennego przeżycia Warszawy. Bo wy ze stolicy bardziej się oswoiliście z tym przeżyciem, my z terenu, raz na kilka tygodni nawiedzający Warszawę, zachowujemy je w kształcie bardziej ostrym i twardym, nawet kiedy staje się powodem radości. Tak nieraz twardym, jak prosty kształt cegły powołanej z ruiny do istnienia, cegły, co przesłania puste jeszcze wnętrza, cegły, co przysposobiona w kozłach za następnym przyjazdem już będzie wmurywstąpiona. (Korektorzy „Odrodzenia! Proszę mi tego nowotworu nie krajać!).

Więc jak z tą cegłą? O zburzonej Warszawie wydał w roku 1947 Stanisław Ziembicki niesłusznie zapomniany poemat „Powrót do miasta". Poemat ten, utrzymany w stylu wizyjnego baroku, panującym wśród młodych poetów warszawskich za okupacji, powstał w tym samym okresie, co teka graficzna Kulisiewicza „Warszawa". W czasie zaś, kiedy stolica była wielkim chaosem ruiny i mało kto przewidywał, że tak szybko zaprowadzi w ruinę ład — po prostu polska cegłodniówka. Dlatego mało kto, ponieważ zniszczenie posiadało wymiary kataklizmu spotykanego tylko w przyrodzie. Dlatego też wreszcie jedna ze strof Ziembickiego w tak mistyczny sposób odbudowuje kamienicę warszawską:

Patrzysz, że domu nie ma,
cegły barki podnoszą, tynk
z ziemi wytryska,
pęcznieje popiół w drzewo
i schody biegają,
odłamki szkła do okien
fontanną ziarnistą
płyną i lepią szyby,
jak pszczoły blaszane,
ogień naprawia sufit, pracują
pociski
jak murarze i gładzą
rozdziobany komin,
odlatują i popatrz — stoi biały
dom.

Potem przyszły lata uporczywie, w milczeniu i w zaparciu mnożonych cegłodniówek. Miesiące odbudowy Warszawy, wrześniowe niedziele ministrów z łopatą. Ubiegłej jesieni („Nowiny Literackie", 1947, Nr 28) St. R. Dobrowolski nad żoliborskimi blokami Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, nad Nowym Światem zawiesił razem z murarzami liryczną wiechę. „O rany Rysiek, Nowy Świat gotów!", zawołał z podmajstrzym.

Tylko jedno mam mu za złe, że niczego dotąd nie zawołał razem z dziećmi pod tym ślicznym sklepem rybno-ornitologicznym na Nowym Świecie. Bo ptaszki również się mogą przydać odbudowie. W jednej ze starych ksiąg wyczytałem autentyczną podobno opowieść o siostrze Stanisława Leszczyńskiego, która ze swej kanarni, spławiwszy Wisłą do Gdańska 1000 kanarków i uzyskawszy za to 1000 dukatów, ufundowała ołtarz w kolegiacie stanisławowskiej. Kanarki z Nowego Świata fundują radość dziecięcą, a ta jest na pewno wartościowsza. Ważniejsze jest, kiedy dzieciaki pamiętać będą nie to, że Nowy Świat był zburzony, lecz to, że tak rychło zadziwiał je prawdziwym akwarium i żywymi rybkami.

Tej jesieni jakby się poeci zmówili, by pisać o cegle. Wspaniały mówca wrocławskiego kongresu Aimé Césaire — „Warszawa 48" („Odrodzenie", Nr 40). Pisarz z Urugwaju Enrique Amorim — „Ruiny Warszawy" (tamże). Nasz Aleksander Rymkiewicz — „Warszawskie cegły" („Nowiny literackie" Nr 40). U Césaire'a i Rymkiewicza najczęstszym słowem i obrazem jest cegła. U Rymkiewicza rozsnuwa się w całą opowieść o podwarszawskiej cegielni, o murarzu Pawle, co powrócił do zburzonej Warszawy i kładzie cegły na mur, jak kładł je przed wojną. Césaire oglądał Warszawę pierwszy raz. Warszawę już odbudowaną do połowy swego stanu sprzed wojny. Czytając jego przejmujący i piękny wiersz doznajemy żalu, że nie urzekł jej wcześniej. Żalu łagodzonego myślą, że ten Murzyn z Martyniki napisał chyba najbardziej wzruszający wiersz o zburzonej Warszawie obok „Miasta" i „Campo di Fiori" Miłosza. Groza pierwszego i nieoswojonego spojrzenia na ruinę Warszawy — myśmy się już dawno oswoili — bije z wersetów Césaire'a.

tutaj cegła jest szyderstwem zła
cegły na ulicach rozbitych
cegły na Żydach zabitych
cegły cegły cegły
skręcone żelazo kikuty strutych
szczurów góry na górach
całun

Ale utwór Césaire'a chociaż tak uderza, jest wierszem, że tak powiem sprzed rozpoczęcia odbudowny stolicy. Poeta odwołuje się do miecza syreny i do smoczej pieczary jako argumentów tej odbudowy. Odwołuje się do symbolów uderzających cudzoziemca. Tak i my czyniliśmy wczesną wiosną 1945 r. Syrena na Wybrzeżu Kościuszkowskim była wówczas jedynym ocalałym pomnikiem Warszawy i stąd była argumentem. Tymczasem nie smocza pieczara i nie herbowy miecz Warszawy, ale po prostu cegłodniówki, mobilizacja entuzjazmu w ich służbie, są tym argumentem naprawdę.

Przypowieści poetyckie Rymkiewicza nie można zestawiać z okrzykiem Césaire'a, jeśli chodzi o siłę lirycznego wzruszenia. Ale przypowieść ta została napisana już na brzegu odbudowującej się Warszawy i w świadomości, z czego się ów wysiłek dokonuje. Rymkiewicz pisze prosto i w sposób dostępny tym, o których mówi w swojej strofie:

Aż przyszli pierwsi, przez chwilę
stali,
a potem drągi i ciężkie łopaty
wbili w cmentarze cegieł olbrzymie.
Cóż zrobią tym Alpom ci ludzie
mali.
Nadeszła wiosna, ich coraz więcej,
Na ściany skrzywione rzucają liny,
jakby zechcieli to wielkie miasto
na bok odciągnąć w podmiejskie
gliny
i znowu w pustym szerokim polu
budować miasto z Wisłą na dole.
Już kładą pierwsze szyny
tramwajów.
A Paweł murarz cegły ustawia
sobie, spłoszonym gołębiom,
Warszawie.
I tak po latach do siebie dobiegły
— cegielnia, Warszawa i murarz
i cegły.

Sądzę, że ten ostatni cytat zwalnia mnie od odpowiedzi, dlaczego pisałem o cegle. I dlaczego dostrzegam łączność pomiędzy stylem odbudowy, a uproszczeniem poezji. Nad domami nowej Warszawy można zawiesić liryczną wiechę. Można powiedzieć prosto, możliwie najprościej, tłumiąc wzruszenie, jak się to stało, że wznoszą się nowe domy. Innych ozdób te domy nie potrzebują. Zbyt wiele w nich jest autentycznego trudu.

kjw.

▪ DROBIAZGI FRANCUSKIE ▪ DROBIAZGI FRANCUSKIE ▪

Otwarcie sezonu w teatrach paryskich

Nowy sezon nie zapowiada się ciekawie; większość teatrów paryskich podejmie we wrześniu i październiku sztuki, które weszły na afisz w poprzednim sezonie, — prawdopodobnie dopiero okres zimowy przyniesie świeże premiery. Jest to rezultat spóźnionej zmiany programów w sezonie 47/8; przedstawienia grane zaledwie parę miesięcy czy nawet tygodni, teraz muszą być wyzyskane „do ostatniego widza", według handlowej zasady sceny francuskiej.

Jedynie państwowa „Komedia Francuska" i „Odeon" dają program „mieszany", pokazując szereg utworów klasycznego repertuaru w ciągu tygodnia — są to zresztą inscenizacje przygotowane w ostatnich dwóch sezonach: „Polyeucte" Corneille'a; komedię reprezentują „Les femmes savantes" (Uczone białogłowy), „Médecin malgré lui", (Lekarz mimowoli), jedna z mniej ważnych fars Moliera, oraz „Le barbier de Séville" (Cyrulik sewilski), sławna „rewolucyjna" komedia Beaumarchais'ego. Klasycy epoki romantycznej, to pompatyczny „Ruy Blas" Wiktora Hugo, dramat ukazujący schyłek dawnej monarchii hiszpańskiej z wkomponowanymi w tło historyczne dziejami miłości królowej i dzielnego Ruy Blasa — oraz pełna scenicznego liryzmu komedia Musseta „Le Chandelier" („Świecznik").

W sali „Odeonu", przeznaczonej dla utworów nowszych, ale o wypróbionej renomie, będzie powtórzona pogodna i poetyczna komedia mieszczańska współczesnego autora Ch. Vildraca „La Brouille" („Kłótnia"), i „egzystencjalistyczny" dramat historyczny Pugeta, „La peine capitale" („Kara śmierci"), podejmujący filozoficzne zagadnienia szczerości uczuć miłosnych i „zasadniczej" hipokryzji, podobno nieodłącznej od natury ludzkiej, na tle tchnącego pesymizmem obrazu zamieszek i wojen we Włoszech na przełomie renesansu.

Z innych teatrów, jedynie J. L. Barrault podejmuje repertuar „zmienny". Otwarcie sezonu nastąpi dopiero w październiku: na deski teatru „Marigny" wrócą inscenizacje „Hamleta", „Procesu" Kafki, „Amfitriona" Moliera i i. — przygotowuje także Barrault nowy utwór, świadczący o jego ambicji poszukiwania tematów „modnych", choćby trudnych dla ujęcia teatralnego; będzie to przerobiona na scenę powieść Camusa „La peste" („Dżuma"), ukazująca w formie symbolicznej ostatnią wojnę (w tej książce, odsłaniającej reakcję rozmaitych warstw społeczeństwa zachodniego na wielki kataklizm historyczny, epidemia oznacza najazd hitlerowców).

Teatr „de l'Athenée" wystawia od 10 września w świeżej inscenizacji jeden z największych sukcesów artystycznych Louis Jouveta: „Don Juan". Ta rzadko wystawiana, dziwna, pełna goryczy i ironii „komedia" — czy raczej dramat — Moliera, pozwoliła Jouvetowi stworzyć postać intelektualnego, zimnego hipokryty, który z obłudy tworzy sobie zasadę filozoficzną. Pomimo szacunku dla tekstu klasyka — jest to pierwsza zasada teatru Jouveta, przeciwstawiającego się wszelkim zniekształceniom reżyserskim, naginającym utwór do potrzeb efektu scenicznego, a modnym w ostatnich latach teatru — pomimo więc zachowania w pełni charakteru dzieła molierowskiego, unowocześnił je Jouvet przez oprawę dekoracyjną i kostiumową, skomponowaną przez najwybitniejszego malarza teatralnego współczesnego, Christian Berarda, wystylizowaną w guście patetycznego, kunsztownego baroku. Ta monumentalna dekoracja zachowuje moralną surowość Moliera, potępiającego fałsz, i ukazującego karę, spadającą z zaświatów na don Juana — a zarazem daje poczucie dystansu widzom współczesnym, obserwującym styl i etykę wieku XVII, jakby odczytywane w dokumencie historycznym.

Z innych wznowień warto zwrócić uwagę na „Towarzysza" („Tovaritch"), wybitnego przedstawiciela komedii bulwarowej Jacgues Devala, w teatrze Madeleine (od 4 września). Jest to historia pary „białych emigrantów", którzy ocalili klejnoty skarbu carskiego, i w salonie paryskim stykają się z przedstawicielem nowego rządu ludowego, człowiekiem surowym, lecz oddanym swej sprawie. Po krótkiej walce wewnętrznej, decydują się na jedno, zgodne z ich sumieniem rozwiązanie: klejnoty muszą wrócić do kraju, by służyć odbudowie Rosji, podnoszącej się z nędzy; skarby korony zostają złożone na ręce „towarzysza". Parę emigrantów patriotów kreuje wybitny duet aktorski: Wiktor Francen i Elwira Popesco.

Wystawa „Joanna d'Arc"

Organizatorzy wystawy „Jeanne d'Arc et son temps", otwartej w nawach dawnego kościoła Inwalidów, przeznaczonego obecnie na pokazy, mieli zadanie niełatwe. Wszystko, co pozostało po bohaterce narodowej, której rola w tradycji francuskiej jest tak znaczna, jak u nas Tadeusza Kościuszki, dałoby się zmieścić w niedużej gablotce. Nie istnieje nawet wiarygodny wizerunek jej twarzy, bo najwcześniejsze rysunki Dziewicy pochodzą z początków XVI w., a więc powstały w wiele lat po jej śmierci, i są dziełem fantazji miniaturzystów. Toteż wystawa stara się raczej o odtworzenie atmosfery epoki, i uzmysławia historię Joanny za pomocą map przedstawiających zwycięską marszrutę armii francuskiej, na nowo zorganizowanej przez tę „wysłanniczkę Matki Najświętszej" — tak Joanna określała swoje powołanie; — oglądamy dalej cykl makiet, odtwarzających w miniaturowych dekoracjach, zaludnionych przez laleczki, ubrane w kostiumy epoki — różne sceny kariery Joanny: są także zbroje, broń, rekwizyty owego okresu. I wreszcie kilka dokumentów: listy, przeznaczone przez Joannę dla najeźdźcy — króla angielskiego, oskarżające go o złamanie praw boskich, orędzie do miast oblężonych przez wrogów, zachęcające do wytrwania w obronie ojczyzny — wszystkie te manifesty pisane przez skrybów, a podcyfrowane tylko krzyżykiem lub kółkiem przez niepiśmienną Joannę. Najpełniejszym dokumentem są akta procesu Joanny, skazanej na śmierć, za herezję, wyrokiem marionetkowego trybunału, ustanowionego przez Anglików i złożonego z duchownych francuskich, zdrajców własnego narodu. Uderza mądrość i ostrożność tej osiemnastoletniej, niewykształconej dziewczyny wiejskiej, która na podstępne pytania odpowiadała z pełną godności zręcznością. „Twierdzisz więc, że to św. Michał kazał ci wygnać Anglików; czy w niebie nienawidzą ich bardziej niż Francuzów?" „Pan Bóg kocha wszystkich jednakowo, ale potępia niesprawiedliwość". By jednak uniknąć posądzenia o tendencje antyangielskie, autorzy wystawy umieścili przy wyjściu napis dwujęzyczny, podkreślający francusko-anglosaskie braterstwo broni w dwóch wojnach światowych, ilustrowany fotosami z najnowszego filmu o Joannie, z Ingrid Bergman w roli głównej, nakręconego w Hollywood.

„L'Opera Comique" w nowym sezonie

W obydwu państwowych teatrach operowych otwarto nowy sezon po przerwie wakacyjnej. W związku z ogłoszeniem programu przez dyrektorów tych scen, w prasie muzycznej podjęto dyskusję nad organizacją „teatrów lirycznych", jak je Francuzi nazywają, zachowując zwrot pochodzący jeszcze z czasów, gdy dramatyczne słowo mówione nazywano „comique", a śpiewane „lirique", zaś opera nosiła tytuł „Królewskiej Akademii Muzyki" („L'Académie Royale de la Musique"), do dziś widniejący na frontonie gmachu przy „avenue de l'Opéra".

Właśnie zaniedbanie pięknych tradycji francuskiego teatru operowego, jest przedmiotem zarzutów, stawianych kierownictwu przez krytykę. Przede wszystkim wysunięto żądanie zorganizowania trzeciej sceny, która podjęłaby rodzaj najbardziej typowy dla muzyki francuskiej: operę buffo, reprezentowaną na przełomie wieku XVIII i XIX przez takich mistrzów, jak Boieldieu, autor „Białej damy", twórca najwdzięczniejszej komedii operowej od czasów „Wesela Figara", czy Auber, kompozytor „Fra Diavolo". Ten gatunek, pełen werwy, rytmiki, pasji satyrycznej, podjął w epoce Drugiego Cesarstwa Jakub Offenbach, autor „Pięknej Heleny", i jego uczeń Charles Lecocq („Giroflé - Girofla"). Operetka francuska, parodystyczna, intelektualna, rewolucyjna („Piękna Helena" była szyderstwem skierowanym przeciwko reakcyjnemu „Świętemu Przymierzu" trzech monarchów — pokazywała królów „w pantoflach", w rolach durniów i safandułów, i była przyjęta w Warszawie z entuzjazmem, jako przedstawienie antycarskie!), operetka francuska nie ma nic wspólnego z sentymentalną, mazgajowatą, walcową, mieszczańsko - biedermajerowską operetką wiedeńską (Strauss, Suppé, Millöcker, Zeller i i.), i jest ważną pozycją w dziejach muzyki klasycznej.

W ogłoszonym repertuarze „Opéra Comique" zastrzeżenia budzi brak ambicji tej sceny, powtarzającej wciąż ograne i spopularyzowane utwory, jak „Trawiatę", „Cyganerię", „Madame Butterfly" itp. Z oper francuskich zapowiedziano wyświechtanego „Wertera" Masseneta i sentymentalnych „Poławiaczy pereł" Bizeta: z utworów klasycznych ciągle „Cyrulik sewilski", itp. banalne pozycje. Repertuar świadczący o zrutynizowaniu artystów opery francuskiej, unikających wartościowych a zapomnianych pozycji muzyki klasycznej, Glucka, Belliniego, Donizettiego, Webera i Beethovena („Fidelio" — jedyna opera wielkiego kompozytora) i niedość uwzględniających twórczość najnowszych autorów operowych, trudnych do wystawienia eksperymentatorów.

Biblioteka PEN-Clubu

Polski PEN-Club, z początkiem br., zwrócił się do wszystkich członków Federacji PEN, z prośbą o nadsyłanie książek pisarzy, zrzeszonych w organizacji międzynarodowej. W apelu tym zostało wyraźnie podkreślone, że nie chodzi tu jedynie o publikacje w językach najbardziej rozpowszechnionych, ale we wszystkich językach literackich, które są reprezentowane w Federacji, choćby to były języki najbardziej odległe od kultury europejskiej. Zawsze bowiem znajdą się specjaliści, którzy z wdzięcznością powitają trudno dostępne teksty. Celem tej akcji jest stworzenie z biblioteki PEN-Clubu ośrodka studiów, dającego obraz ruchu literackiego na obu półkulach.

Apel Polskiego PEN-Clubu spotkał się z nader życzliwym przyjęciem. Poszczególne centra podały go do wiadomości swych członków, opublikowały, bądź we własnych biuletynach, bądź w prasie, przedyskutowały na swych zebraniach. W ślad za listami, wyrażającymi przekonanie, że ta akcja zostanie rozszerzona i podjęta przez wszystkie centra, jako wymiana dzieł literackich (taki wniosek zgłosiła również delegacja polska na kongresie w Kopenhadze) zaczęły przychodzić książki. Belgia, Indie, Kuba, Argentyna, Afryka Południowa, Brazylia i Holandia, należały do pierwszych, które podjęły wysyłkę książek, inne, swoje zapowiedziały. Z każdym tygodniem nadchodzą bądź pojedyncze tomy, bądź pakiety. Zdarzają się wydawnictwa luksusowe. Już przegląd tych paruset tomów daje pojęcie, czym będzie z czasem biblioteka PEN-Clubu: przynoszą one bowiem dzieła zupełnie u nas nieznane, świadczące o bogatym i ciekawym życiu literackim poza horyzontem europejskim. Uruchomienie tych zbiorów jest zależne od stosownego lokalu, którego PEN-Club na razie nie posiada, a który niewątpliwie otrzyma w niedalekiej przyszłości.

Początek cywilizacji europejskiej w Luwrze

Muzeum Luwru udostępniło publiczności sale sztuki archaicznej, na nowo zorganizowane i otwarte po raz pierwszy po pięcioletniej przerwie. Są tu najbogatsze bodaj na kontynencie zbiory (jedynie londyńskie „British Museum" posiada równie ważną kolekcję) zabytków egipskich, asyryjskich i fenickich. Ale obok znanych arcydzieł tej najwcześniejszej epoki dziejów — jak monumentalne rzeźby skrzydlatych pół-lwów, pół-rycerzy z pałacu Asurbanipala, czy gigantyczne głowice kolumn Persepolisu — można tu zobaczyć przedmioty skromniejsze, a przecież o charakterze odkryć historycznych. Są to odkopane przez ekspedycję francuską w latach 1930-45 (prace wykopaliskowe trwają!) resztki cywilizacji najdawniejszej na tym terenie (Mezopotamia — dolina Eufratu i Tygrysu), stworzonej przez Sumeryjczyków, którzy przybywszy ze wschodu, mniej więcej trzy tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa, założyli w pobliżu ujścia obydwu „Rzek-Matek" miasta Tello i Mari.

Charakter tego najstarszego w obrębie naszej kultury ośrodka zaprzecza dwom wielkim teoriom historycznym, panującym w nauce XIX i XX wieku, a usiłującym wytłumaczyć początek cywilizacji podbojem (państwo powstaje przez najazd grupy wojowników), lub świadomością religijną (obawiając się nieznanych im sił przyrody, ludzie łączą się w gminę, by wspólnie przebłagać boga i wpłynąć na niego za pomocą zbiorowych akcji „magicznych"). Jednak ani terror — według interpretacji uczonych niemieckich, np. Gumplowicza, ani mistyczny lęk (prace etnologa angielskiego Frazera) nie był pierwszym motorem cywilizacji. W mieście Tello panował kult — budowniczego, konstruktora, inżyniera! Zachowane rzeźby z wypolerowanego czarnego bazaltu świadczące o rozwiniętej technice obróbki kamienia, wyobrażają siedzącego mężczyznę o spokojnej twarzy, z dłońmi nieruchomo splecionymi. Żadnej broni, żadnego berła czy innego insygnium władzy, żadnego przedmiotu obrządku — i tylko na kolanach ten pierwotny przywódca trzyma dokładnie wyrysowany, widziany z góry — tak jak do dziś robią architekci — plan pałacu z licznymi drzwiami i korytarzami. W sali Luwru, poświęconej miastu Tello, znajduje się kilkanaście figur owego organizatora, który zwał się Gudea, nie używał tytułu królewskiego, zbudował miasto, i założył bibliotekę dokumentów, zapisanych znakami klinowymi na cylindrach z palonej gliny. Najazd Asyryjczyków — istnych „hitlerowców starożytności" zniszczył cywilizację Sumeryjczyków, świeżo odkrytą i świadczącą wobec historii, że plan architekta jest starszy od miecza w ręku monarchy babilońskiego, zaś przed okresem krwawego szaleństwa i mistycznego strachu, panował wcześniejszy w dziejach ludzkości — kult intelektu.

Zygmunt Kałużyński

▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪

„ZAJĄC"

Adolfa Dygasińskiego

Powieść. Warszawa, „Wiedza" 1948, str. 249 i 2 nl.

„Zając" Dygasińskiego jest rzadkim i dość niezwykłym typem książki, która mając za temat życie zwierząt — równie silnie przykuwa uwagę jak zwykłe książki o powszechnie spotykanej fabule. Na ten stan rzeczy składa się kilka elementów: wiedza przyrodnicza Dygasińskiego, która pozwala mu poruszać się swobodnie w dziedzinie faktów, zdarzeń i doznań zwierząt, jego rzeczywista miłość do nich, bardzo wyrafinowana inteligencja, nie pozbawiona lekkiej ironii i sarkazmu oraz umiejętność transponowania swej znajomości przedmiotu na wartości literackie w sposób pełen uroku, przejrzystości i doskonałego rysowania sytuacji, postaci — zarówno zwierząt, jak i ludzi.

I tu tkwi główna zaleta i specyficzność talentu Dygasińskiego. Książka bowiem jest skomponowana w ten sposób, że środowisko zwierzęce i środowisko ludzkie stanowią właściwie jedną całość i różni je tylko stopień uświadomienia psychicznego, doświadczeń, dojrzałości wewnętrznej. Jednak podłoże psychiczne jest to samo, tak samo jak podobne są wady, zalety, dyspozycje, sposób walki, tęsknoty, pragnienia — i nawet ideały.

Głównym zainteresowaniem jest życie zająca, równolegle do niego daje Dygasiński dzieje lisa i szeregu psów. Zając symobolizuje pewien typ psychiczny, podobnie jak lis, jednak i lis i zając są zajęczymi i lisimi indywidualnościami, tak jak indywidualnościami są psy, ludzkie w swych doskonałościach, wadach i namiętnościach. Ludzie — dalszy przedmiot zainteresowania Dygasińskiego — są jakby ilustracją do tego, co widzi w świecie zwierząt, przez ich wprowadzenie wyjaśnia i zbliża te prawdy, które ujawnia w analizie zajęczego i lisiego życia. Stąd lekka ironia, sentencjonalność niektórych uogólnień i wniosków, psychiczna antropomorfizacja zwierząt jest jasna i nie przesadna, ale całkowicie udowodniona. A co najważniejsze — całość jest bardzo żywa, czytelna i interesująca.

Dygasiński dowodzi, że życiem zwierzęcia kierują te same siły, co życiem człowieka: walka o byt, szczęście, miłość; że życie zwierząt i życie ludzi splecione jest nierozerwalnie wypadkami i pokrewieństwem wewnętrznym i ta postawa oraz realizacja pomysłu kompozycyjnego książki — muszą fascynować nawet tych, którzy nie czują pociągu do powieści „z życia zwierząt".

Strach kierujący życiem zająca, spryt lisi, dystynkcja, arystokratyczność i dziwactwa psie, niewytłumaczone szczęście kierujące życiem, paradoksalność niektórych rozwiązań sytuacji życiowych, przez wkraczanie ludzi w świat zwierząt — z ich słabościami, wadami, namiętnościami i aspiracjami — czynią z tej książki o tematyce przyrodniczej utwór z całym powabem tych zawiłości, które stanowią siłę przyciągającą beletrystyki. Typy ludzkie, zaściankowe, o rysach komicznych, prawie groteskowych, pachną dawnymi czasami, zaciszem wsi i prowincji i stanowią element fabularny, który bawi, uspokaja i śmieszy. Ponadto interesują one jako środowisko przebrzmiałe i bardzo charakterystyczne dla przekształceń, zachodzących w poszczególnych grupach społecznych.

Książka Dygasińskiego, wydana ze wstępem Franciszka Bielaka i szczegółowym słownikiem wyrazów trudnych, powinna być lekturą masową jako powieść o dużej sile atrakcyjnej i wielkich walorach wychowawczych i literackich.

Aniela Mikucka

Rozwiązanie konkursu

Związek Kompozytorów Polskich, pragnąc uczynić zadość coraz większemu zapotrzebowaniu na muzykę, dostępną najszerszym masom odbiorców, ogłosił w kwietniu br. **konkurs na utwór o charakterze popularnym**, oparty na tematyce polskiej, na zespół typu świetlicowego.

W wyniku tego konkursu nadeszło do Związku Kompozytorów 28 prac.

Jury w składzie: dr Z. Lissa, dr Z. Latoszewski, prof. Cz. Lewicki, prof. J. Maklakiewicz i Z. Mycielski, postanowiło nie przyznawać I i II nagrody, wychodząc z założenia, że nadesłane prace nie odpowiadają jeszcze wymaganiom, stawianym utworom tego typu.

Przyznano natomiast III nagrodę w kwocie 60.000 zł autorowi utworu „Od strzechy do strzechy" (godło „Trzy róże"), którym okazał się **Szymon Laks**, zamieszkały obecnie w Paryżu.

Ponadto przyznano dwa wyróżnienia po 40.000 zł — za pracę „Mała suita polska", której autorem jest **Ferdynand Macalik** i za utwór „Sabałowa", skomponowany przez **Józefa Klukowskiego**.

Dwa utwory, których autorem okazał się **Paweł Billert** z Torunia, przedłożono Polskiemu Radiu do zakupu i wykorzystania.

Konkurs ten jest jednym więcej ogniwem szeroko zaplanowanej akcji stworzenia repertuaru i upowszechnienia popularnej muzyki o charakterze narodowym, dostępnej najszerszym masom odbiorców.

OSIEMDZIESIĘCIOLECIE „MUCHY"

Ukazał się numer jubileuszowy „Muchy" z czerwonym nadrukiem na stronie tytułowej: 1868—1948. Jest to więc osiemdziesięciolecie tego ongiś bardzo popularnego tygodnika satyryczno-politycznego. Założycielem był znany i ceniony komediopisarz Edward Lubowski, współpracował Bolesław Prus, rysowali Kostrzewski, Gierymski, Pillatiowie. Wydawcą był księgarz warszawski Kaufman. „Muchę" przejął później L. Fryze. Wtedy tygodnik rozwinął się na dobre. Na łamach „Muchy" widniały nazwiska takich pisarzy, jak Reinstein, Londyński, Zyżkowski, Zygmunt Przybylski, Szymanowski. Rysunki Mucharskich zwracały wtedy uwagę swoim zacięciem satyrycznym. W gronie tym współpracował już W. Buchner. Pod jego redakcją „Mucha" zgromadziła kilka wybitnych piór, jak Aleksander Orłowski, Or-Ot, Paul de Coś - Kośmiński, Waśniewski i Gąsiorowski. Nawet filozof Mahrburg i adwokat St. Patek podrzucali „Musze" swoje zabawne spostrzeżenia i refleksje.

Podczas rewolucji 1905 roku „Mucha" wyrosła na czołowy organ satyry. Konfiskowano ją, zawieszano, zmieniała tytuły, wychodziła jako jednodniówka, lecz wciąż trwała na placówce. Wszyscy wiedzieli, że „Dzięcioł", „Kukułka", „Sęp", „Komar", „Bąk" maskują tylko treść skonfiskowanej „Muchy".

Treść jednak zawsze była zwrócona ostrzem przeciw carskiej biurokracji, przeciw Połusztannikowi, pijaczynie, łapownikowi, tchórzowi. „Mucha" czujna też była na pruskie gwałty. Jubileuszowy zeszyt zawiera próbki tej dawnej satyry tak w rysunku, jak i w słowie. Można więc sprawdzić, co się nie podobało wtedy urzędowi cenzury, a co śmieszyło polskiego czytelnika i budziło uczucia pogardy dla zaborców.

Na czas wojny 1914—1918 r. „Mucha" wywędrowała do Moskwy. I na emigracji Buchner z Orłowskim nie przepuścili żadnej okazji, by ostrzem swych piór zmierzyć się ze znienawidzonym „Wilusiem". Już wtedy po zbombardowaniu Kalisza „Mucha" zamieściła rysunek z podpisem, pochodzącym jakoby z ust Kata Preuskera: „Tyle się mówi o wielkości cywilizacji angielskiej, francuskiej i innych, ale nieść kulturę tak wysoko, jak my, Niemcy, żaden naród na świecie nie potrafi". Na rysunku widzimy niemieckiego oficera, trzymającego w ręku zamordowane dziecko!

Lata niepodległości objęły satyrą szersze horyzonty. „Mucha" nieraz piętnuje macherki „Czterech jeźdźców Apokalipsy", to jest Mussoliniego, Hitlera, Mac Donalda i Daladiera. Czujnie patrzy na pruskie wyczyny w Opolszczyźnie, na Mazurach, w Gdańsku!

„Mucha" do dziś zachowała stary układ treści. Każdy numer rozpoczyna rysunek na licowej stronie, na odwrocie zawsze znajdujemy wierszowany artykuł wstępny. Dalej mamy stałe rubryki: monologi aktualne różnych typków, jak szewca warszawskiego, Antka-Cwaniaka, Salaciarza-dryndziarza, Maglarki, Przekupki, Chłopka-roztropka. W r. 1924 pod rysunkiem K. Chmielewskiego znajdujemy taki aktualny podpis:

„Masz babo! Marka polska ozdrowiała, dulary się ochwaciły i tera leżym z nimi. I żyj człeku w tej naszej Polsce, gdzie cię na każdym kroku w patriotyczne serce biją".

Warto też przypomnieć z okazji jubileuszu „Muchy" dwie charakterystyczne warszawskie postaci: redaktorów Wł. Buchnera i Al. Orłowskiego. Przez wiele lat robili oni ten tygodnik. Oni też zbierali laury wraz z niezłą gotówką. „Mucha" była bowiem pismem wyjątkowo dochodowym.

Redagowanie odbywało się w cukierni „Szwajcarskiej" na rogu ulicy Szpitalnej i Zgoda. Tu w bocznym pokoju przy kawie i ciastkach Buchner i Orłowski przyjmowali interesantów, zamawiali rysunki i płacili honoraria, wedle utartego zwyczaju, z rączki do rączki.

Buchner był dość otyłym, łysym starszym panem, kiedy poznałem go w roku 1906. Siwiał już i czarnooki „krogulec" Aleksander Orłowski. Obaj byli jowialni i dobroduszni. Buchner chodził z książką do nabożeństwa. Krogulec miał w kieszeni jakiś nowy wierszowany dramat o królu Stasiu, Marysieńce Sobieskiej, o Warszawskim szewcu Kilińskim. Marzył całe życie o teatrze. Buchner zakupił sobie kilka will, i modlił się coraz żarliwiej.

A o poczytności i wzięciu „Muchy" mogą świadczyć najlepiej takie fakty, jak stosowanie tego tygodnika przy nauczaniu. „Muchę" polecano do czytania różnym bęcwałom jako środek na rozbudzenie zainteresowania dla lektury.

ec

Korespondencja

„WYJAŚNIENIA AUTORA"

Do Redaktora „Odrodzenia".

W odpowiedzi na notatkę p. W. Petscha pt. „Czy słuszne wątpliwości?" odpowiadam uprzejmie według kolejności zapytań.

1. Istotnie w Düsseldorfie nie było uniwersytetów lecz Akademia Medyczna, niemniej we wszystkich spisach oficjalnych uniwersytetów w Rzeszy, Akademia ta zaliczana była do liczby uniwersytetów (p. m. i. „Statistisches Jahrbuch 1933").

2. To samo odnosi się do Akademii Państwowej w Braniewie ((Braunsberg). Była to jedna z najstarszych uczelni wyższych w Prusach, założ. w 1568 r. i posiadała wydziały teologiczny i filozoficzny. Mimo nazwy Statliche Akademie zawsze figurowała w spisie uniwersytetów Rzeszy (por. „Minerwa Jahrbuch der gelehrten Welt 1934").

3. Natomiast dość sławny uniwersytet lipski został rzeczywiście w artykule mym opuszczony przez błąd drukarski.

4. W Turyngii, ani w Erfurcie, ani w Gotha, ani w Eisenach nigdy żadnej wyższej uczelni nie było, natomiast był i jest uniwersytet, wymieniony w mym artykule, w Jenie.

5. Uniwersytet w Gorlicach (Görlitz) na Łużycach, choć projektowany po drugiej wojnie światowej przez profesorów uniwersytetu wrocławskiego i królewieckiego, ze względu na wyraźnie antypolskie tendencje założycieli, nie uzyskał od władz okupacyjnych sowieckich, zezwolenia na otwarcie, tak że nigdy praktycznie nie istniał. Większość profesorów Ostinstitutu i uniwersytetów Wrocławia i Królewca wyjechała już w r. 1946 z Görlitz do stref zachodnich Niemiec, inni znaleźli zatrudnienie na uniwersytetach w Jenie, Lipsku, Rostoku i Greifswald.

B. Uwaga o stosowaniu jednolitej nomenklatury bądź polskiej, bądź niemieckiej b. słuszna.

C. Nieporozumienie, wyjaśnione już przez p. W. Petscha.

D. Moguncja jest miastem „uniwersyteckim", ponieważ znajdują się tam dwie Akademie: Pedagogiczna i Administracji Publicznej, należące do Technische Hochschule w Darmstadt oraz wyższe Seminarium Duchowne. W sumie co roku około 1.200 studentów kształci się w Moguncji — na pedagogów, urzędników administracji publicznej i kapłanów. Zezwolenie na wydawanie czasopisma „Das Ufer" w Moguncji dane b. redaktorowi hitlerowskiego pisma „Wille und Macht" może zatem wywołać uzasadnioną troskę o rodzaj poglądów przyszłych pedagogów i i., kształcących się w Moguncji.

Dokładny spis wszystkich uczelni niemieckich po drugiej wojnie światowej, bibliotek, pracowni naukowych i organizacji naukowych studenckich, znajdzie p. W. Petsch w „Leksykonie Spraw Niemieckich 1871—1948", który ukaże się w moim opracowaniu wiosną 1949 w wydawnictwie Instytutu Zachodniego, Poznań.

Edmund J. Osmańczyk

Mickiewiczowski konkurs recytatorski

W związku z przypadającą dnia 24 grudnia rb. stopięćdziesiątą rocznicą urodzin Wieszcza, Polskie Radio organizuje ciekawą imprezę — Mickiewiczowski Konkurs Recytatorski dla artystów-recytatorów, członków ZASP. Audycje mickiewiczowskie nadawane będą co piątek o godz. 16.40 na wszystkie rozgłośnie i radiosłuchacze proszeni są o uważne ich słuchanie oraz nadsyłanie swych opinii do Działu Literackiego Polskiego Radia, Warszawa, ul. Noakowskiego 20. Uczestnikom Mickiewiczowskiego Konkursu Recytatorskiego przyznane będą trzy nagrody: I — 75.000 zł, II — 50.000 zł i III — 30.000. Do Sądu Konkursowego zaproszono: prof. W. Borowego, artystkę S. Broniszównę, kierowniczkę redakcji literackiej PR — E. Hartleb, literata Al. Maliszewskiego, artystę J. Warneckiego, literata St. Wygodzkiego i przedstawiciela KCZZ, J. Żeromskiego.

Prócz nagród pieniężnych Polskie Radio przeznacza dla jednego z uczestników konkursu — aparat radiowy, jako nagrodę radiosłuchacza, wręczoną niezależnie od orzeczenia Sądu Konkursowego, temu z artystów-recytatorów, który otrzyma największą ilość głosów od radiosłuchaczy.

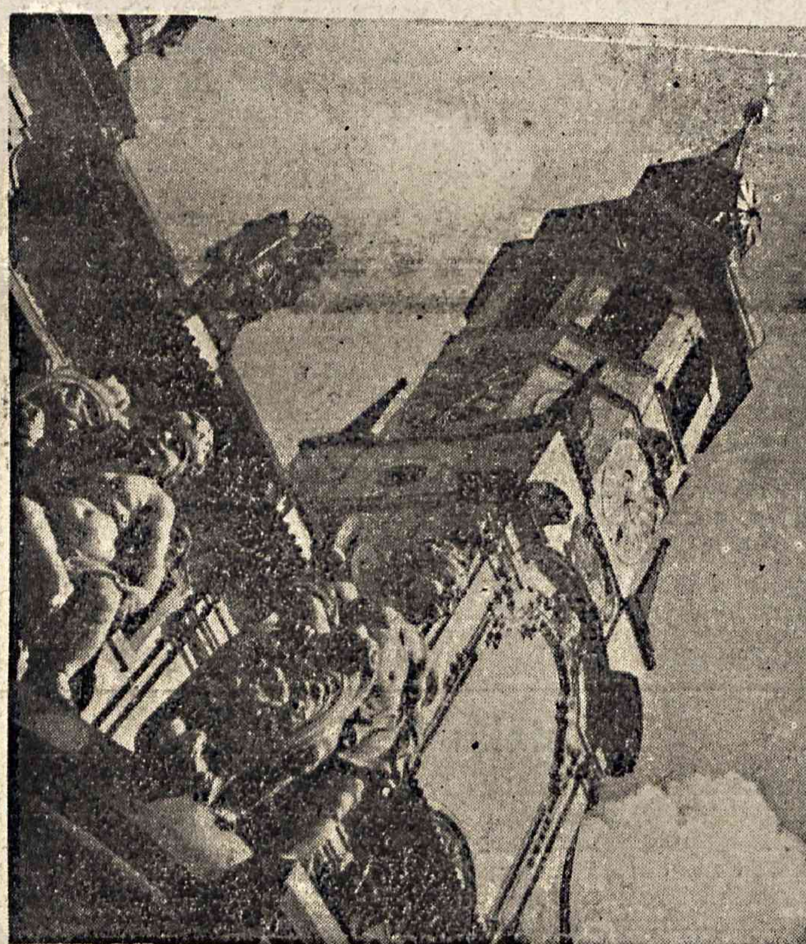
Jednocześnie dla tych radiosłuchaczy, którzy brać będą żywy udział w opiniowaniu audycji konkursowych, Polskie Radio przeznacza cenne nagrody książkowe. Premie książkowe wylosowane będą również wśród tych radiosłuchaczy, których głosy padną na nazwisko nagrodzonego przez Sąd Konkursowy artysty-recytatora.

CZECHOSŁOWACCY FILMOWCY W POLSCE

Przedstawiciele czechosłowackiej kroniki filmowej, Ferdynand Buczina i Jan Szkorpik, bawią obecnie u nas, nakręcając filmowy reportaż o współczesnej Polsce. Poniżej reprodukujemy doskonałe zdjęcia Pragi czeskiej wykonane przez operatora Buczinę



Karlovy Most



Barokowy kościół „Loreta"



Stare Miasto

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymała ob. H. Piotrowska, Wrocław - Ciążyn, Chonowska 2 m. 1, za wycinek z „Dziś i Jutro".

Majdański — Van De Velde

Cytując słowa księdza Zygmunta Baranowskiego, który pyta:

Czy wobec tego można pogodzić pożycie małżeńskie ze świętością? Czy chrześcijanin, który wprost z ramion współmałżonka przeszedł do wieczności, może zostać ogłoszony świętym?

Majdański stwierdza:

Nie bójmy się, to nie gryzie! Nie posiadamy ludzi, którzy potrafiliby uczyć sztuki kochania w małżeństwie.

i dalej:

Stwierdzam ogólny niedowład, nawet u reprezentacyjnych katolików, umiejętności kochania w małżeństwie. Nie dziwię się, ot choćby, pisarzom o niechlujnej moralności, którzy, sądząc widać innych według siebie, nie potrafią zrobić niczego innego tylko wmawiać w kółko w swych utworach, jaki to piękny jest grajdołek, w którym się sami babrzą. Ale nawet pisarze katoliccy nie umieją nam pokazać w swych książkach i sztukach, jak się kocha żonę, męża, jak się ćwiczy, pogłębia tę umiejętność i jak się dzięki temu korzysta coraz obficiej z radości kochania. Skąd to ubóstwo, ta nędza wyobraźni?

Domyślamy się skąd, ale wolelibyśmy usłyszeć odpowiedź na to pytanie z ust Walentego Majdańskiego, który lepiej od nas zna ideowy klimat, charaktery i czyny pisarzy, o których wspomina. Moglibyśmy pokazać Majdańskiemu książki, filmy i sztuki teatralne, których autorzy — nie pieczętujący się godłem „pisarzy katolickich" — uczą wierności w małżeństwie, dają przykłady szczęścia rodzinnego, opartego na moralności. Nie znajdzie Majdański w tych utworach ani pornografii, tak częstej u pisarzy katolickich, o których Majdański wspomina, ani równie częstego marzenia, by wprost z „ramion współmałżonka pójść do wieczności i zostać świętym". Znajdzie tam natomiast moralność społeczną, bez której nie ma żadnej moralności, a więc i — małżeńskiej. Pora, by Majdański skojarzył sobie te dwie moralności w jedną nierozerwalną całość.

Majdański Nr 2

O ile ob. Majdański grzeszy całkowitym oderwaniem zagadnienia moralności indywidualnej od moralności społecznej, o tyle ob. Józef Sorek poddaje przesadnej krytyce społecznej niektóre przejawy osobistego życia. Przesada w jakąkolwiek stronę jest nie tylko szkodliwa, lecz także śmieszna, zamieszczamy więc w „Camerze" uwagi ob. Sorka, przydając mu godność Majdańskiego Nr 2:

WIĘZIENIE ZA KOKIETERIĘ

Budujemy nową Polskę i staramy się szerzyć uświadomienie klasowe w masach pracujących. Dla każdego mamy mnóstwo roboty i nie czas zajmować się głupstwami. Tymczasem, ile kobiet myśli o współzawodnictwie pracy i o uświadomieniu klasowym? Myślą o gałgankach, strojach, zabawach, romansach, fryzjerach i podobaniu się mężczyznom. Za te pieniądze, które kobiety wydają na ondulację, wodę kolońską, paciorki i fatałaszki, co roku można by nie jeden ale pięć domów połączonych partii robotniczych wybudować. Dziewczyny 10 razy bardziej myślą o współzawodnictwie w podobaniu się mężczyznom, niż o współzawodnictwie w pracy. Nie tylko nie zachęcają, ale odrywają mężczyzn od pracy i spraw politycznych.

Uważam, że takie rzeczy powinny być karane przez komisję specjalną. Wszystkie sklepy z perfumami i smarowidłami powinny być zamknięte, a za potajemne używanie tych rzeczy trzeba ustanowić karę obozu pracy. Również marnowanie czasu i odciąganie mężczyzn od pracy socjalnej i partyjnej przez kokieterię i zaloty w godzinach pracy itp. powinno być karane więzieniem.

Józef Sorek

Recenzja

W „Ilustrowanym Kurierze Polskim" czytamy:

Toruń, w październiku.

Komedię B. Shaw'a w przekładzie Floriana Sobieniowskiego wystawił Teatr Ziemi Pomorskiej, jako rzeczywiście silną pozycję sezonu. Każda dyskusja uwzględnić musi zadany sobie trud realizacji. I wydaje się nam, że nie była to sprawa łatwa i prosta. Że ludzie w scenariuszu żyli mocno, że polemika nie straciła walorów, a refleks miał, wydźwięk i czystość.

Podobno duży procent widzów wyznaje otwarcie, że nie zawsze lubi Shaw'a. I podobno ci sami widzowie kochają jego ludzi bez maski, tak jak kocha się rycerzy prawdy. Każda maleńka istota na świecie ma we krwi odrobinę patosu, który jest razem fałszem. Odbarwienie, jakkolwiek sprawiedliwe, nie może być bezbarwne. I dlatego komedie Shaw'a są prawie wyłączone. Są polemiką logiczną, naturalnym rozwojem spraw bardzo subtelnych i głębokich, są potężną inercją koła, które nazywa się odwagą analizy. Jego ludzi można łatwo znienawidzieć. Za brak cech idealnych, za skruszone w sposób zwykły postumenty. I jakże gorąco (tym goręcej) kocha się ich za przejawy siły i dobra. Gra jest otwarta — powiedziano — Shaw jest na scenie...

Czy to jest człowiek? — pyta major Sergiusz Saranow, bohater odbarwiony z mitów i trochę zgubiony w świecie ze swoją odwagą serca. To pytanie da się „zabrać do domu", jak żywa rzecz i jak węzeł od wielu spraw. Jaki wydźwięk mają słowa kapitana Bluntschli, kiedy mówi o wielkiej wolności? Czym jest wreszcie cywilizacja u genezy życia?... Pytania Shaw'a brzmią głośno. Są szybkie, gorące, celne, wbudowane w żywą igraszkę — cięcia i uniki...

Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu dysponuje w tej chwili zespołem o dużych możliwościach. „Żołnierz i bohater" B. Shaw'a (w reżyserii Gustawy Błońskiej) jest otwartą, dobrze rozegraną próbą. Celina Klimczakówna jako Raina sprostała wszystkim zadaniom w grze niezmiernie subtelnej i lamliwej. Sprostać wymogom Shaw'a na drodze czarującej prostoty — to sprawa intelektu. Wielicza (kapitan Bluntschli) widownia przyjęła serdecznie. Za sprawą szczerego talentu zeszedł ze sceny tak, jak na nią wszedł: z pytaniem Shaw'a na czole, nierozpoznany pozornie człowiek toruńskiego wieczoru w teatrze. Kapitalne momenty miał Cyprian (major Petkow), a jego pytanie w III akcie („Czy jest pan może cesarzem szwajcarskim?") jest prawdziwym dynamitem komedii i aktorstwa. Konieczka (major Sergiusz Saranow) bardzo dobry i wierny koncepcji. Piękna pozycja Krzywickiej — to trzeci akt. Chorzewskiej (Łuka) wytkniemy delikatnie nadmiar kontaktu z widownią, jakkolwiek była bardzo malownicza i wiele akcentów wygrała z rzeczywistą siłą. W roli Mikoły Wł. Cichoracki, oficer — T. Tusiacki, Alfred Kowalkowski sprawował kierownictwo literackie, sprawa tekstów miała czysty, pojętny wydźwięk. Dekoracje przygotował Torwirt, przy czym miały one dużo tęgiej barwy i soczystych płócien (akt III).

Miło jest nam dzisiaj napisać, że „Żołnierz i bohater" B. Shaw'a jest jasnym znakiem na granicy nowego teatru i że słowa o jego przyszłości są już prawie... dobrym konkretem...

Krystyn Mazurkiewicz

Bój się Boga, Mazurkiewicz!

Patos

W „Życiu Warszawy" z sierpnia ob. (wr) tak opisuje przyjazd delegacji Młodzieży Pracującej:

Cała młoda pracująca Skandynawia zjechała w osobach 7 Szwedów, 11 Norwegów i 11 Duńczyków.

Obywatelu Wr. — prrr...

Mikroskopy — króliki — piętra

„Wieczór" znowu zaczął dbać o nagłówki swoich notatek. Oto jeden z przejawów tej troski:

Mikroskopy mnożą się jak króliki. Przybędzie im 5 pięter.

Obywatele! Mniej inwencji!

Honorowy gość

W „Kurierze Szczecińskim" czytamy:

PRZEMYSŁ-HANDEL

Pierwszorzędny fachowiec, czynny udział, poważnej f-y przem.-handl. w Katowicach, szuka kontaktu ze Szczecinem. Na ref. bankowe i moralne. Honor przede wszystkim. A. R., Katowice, ul. Kopernika 9 m. 8. K-1772

Rosjanie mawiają w takich wypadkach: „Diengi wział i czestj sochranił..."

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji. Warszawa. ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO — I. 4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-576 7 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"